NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. **Kraków, 10 marca 1917.** **Nr. 10.**

Z frontów bojowych.



Las w okolicy Souchez, zniszczony częściowo pociskami artyleryi.

Treść numeru: Pożegnanie namiestnika Dillera. — Ustąpienie austryackiego szefa sztabu jeneralnego. — Wojenne

Pożegnanie namiestnika Dillera.

Ustąpienie gen. Dillera z godności namiestnika galicyjskiego wywołało w całym kraju szczery żal, któremu dały wyraz liczne deputacye i adresy pożegnalne. Świadczy to wymownie o uznaniu, w jakiem działalność gen. Dillera na tem wysokiem i odpowiedzialnem stanowisku spotkała się w najszerszych kołach naszego społeczeństwa. I nic dziwnego. Choć powołany na stanowisko namiestnika w charakterze dygnitarza wojskowego, gen. Diller potrafił pogodzić interesy dynastyi i państwa z interesami ludności.

Na swe stanowisko w Galicyi przyniósł najprzód znajomość naszego języka, bez czego nie można chyba dobrze administrować krajem ważnym i rozległym, o warunkach tak odmiennych od innych prowincyj austryackich. — Przyniósł także znaczną znajomość stosunków polskich i ruskich, wyniesioną zarówno ze swego długoletniego pobytu w naszym kraju, podczas którego szukał zawsze kontaktu z naszem społeczeństwem, jak i ze swej działalności w okupacyi. Lecz, co równie ważne, przyniósł dobrą wolę zagojenia tych strasznych ran i nieszczęść, jakie wojna zadała specyalnie naszemu krajowi, pustosząc go wszerz i wzdłuż, podcinając jego rolnictwo, przemysł i handel.

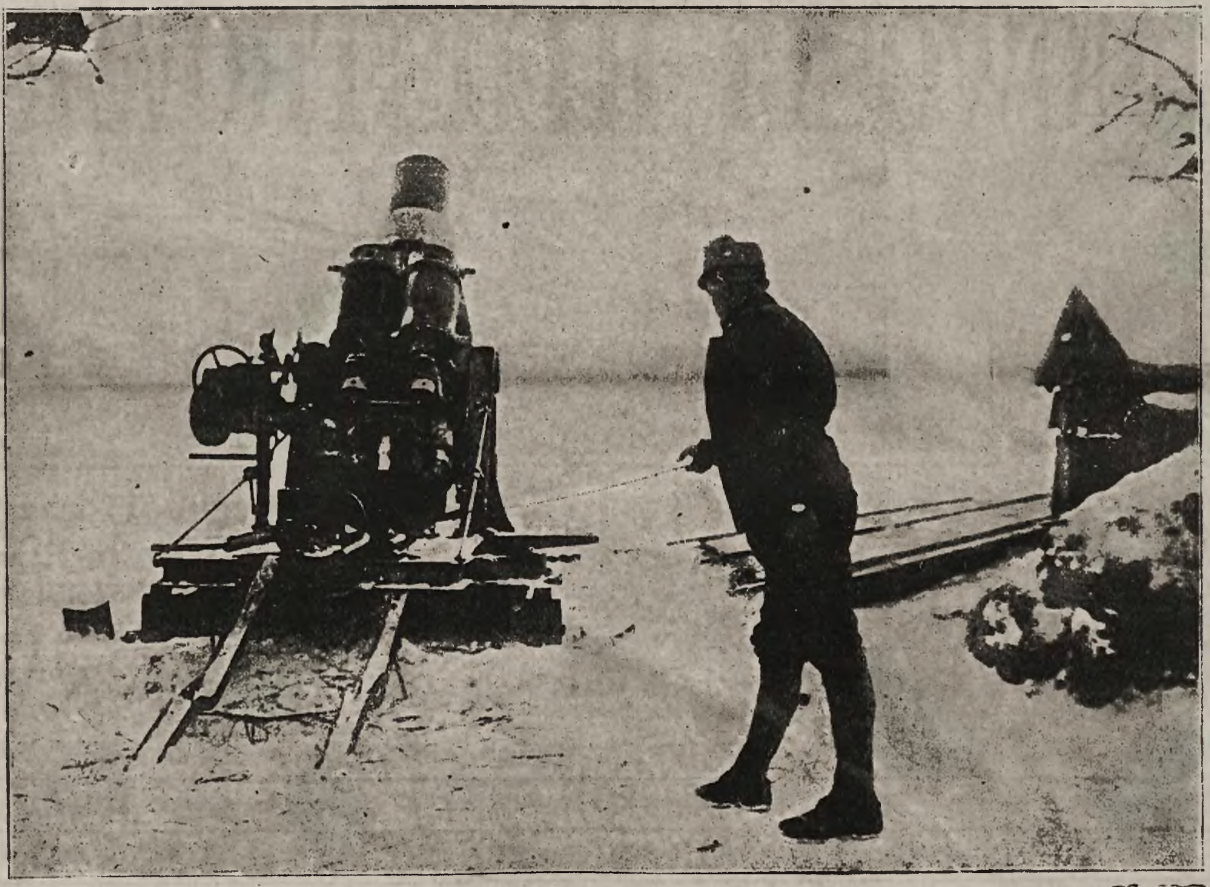
Przez cały też czas swej działalności przyczyniał się ustępujący namiestnik, o ile tylko mógł, nietylko do niesienia pomocy warstwom zrujnowanym, ale i do dopomagania, aby zniszczone źródła produkcyi napowrót ożywić. Jego pojednawczemu i rozumnemu postępowaniu należy też zawdzięczać, że ludność zaczęła zapominać o tych wszystkich klęskach, bezprawiach i goryczach, które nagromadziły się w Galicyi przez czas wojny i inwazyi rosyjskiej. Porównując jego rządy i rządy rosyjskie otrzymało społeczeństwo poglądową lekcyę, co znaczy życzliwość, a co wrogie usposobienie u góry.

Należy mu się za to szczera wdzięczność, acz kolwiek nie było mu dane szerzej rozwinąć rozpoczętego przez siebie dzieła odbudowy naszego kraju i doczekać pierwszych owoców pracy. Pozostawia kraj z ranami jeszcze nie zagojonemi, z zasobami wyczerpanemi. Braki w należytem odżywianiu ludności są u nas bardzo znaczne, a fakt zniszczenia ogromnej liczby osad i wsi oraz niższej, jak gdzieindziej, zamożności naszych miast i miasteczek sprawia, że nawet mniejsza, niż gdzieindziej, skala życiowa, do jakiej ludność nasza jest niestety przyzwyczajona, nie może być zaspokojoną.

Generałowi Dillerowi należy się wdzięczność, że chociaż nie mógł wyczerpanemu i zniszczonemu krajowi dostarczyć takiej pomocy, jaką uważało za swój obowiązek ofiarować państwo niemieckie mieszkańcom Prus wschodnich, przecież w granicach swej możności bronił jej przed dalszem ubożeniem. Wszystkie koła naszego kraju złożyły mu też wyrazy wdzięczności, z któremi pospieszył również Wydział Krajowy w wystosowanym do generała Dillera adresie.

Działalność i zasługi ustępującego namiestnika wymownie podkreśla ten adres, w którym między innemi czytamy:

„Wysoka kultura umysłu, zrozumienie potrzeb moralnych, intellektualnych, ekonomicznych, najżywotniejszych spraw, a przedewszystkiem potrzeb naszego nieszczęśliwego kraju, wielka dłań życzliwość wyrozumiałość, głębokie poczucie obowiązku oraz bezstronność, znaczyły działalność Waszej Ekscelencyi. Nie możemy także pominąć milczeniem, że w czasie sprawowania urzędu namiestnika Galicyi utrzymywałeś porozumienie z wydziałem krajowym, żeś nie zerwał tej spójni, którą uważamy za najważniejszy obowiązek i za warunek prawidłowego roz-



Z frontów bojowych: Austryacki ciężki moździerz wśród głębokiego śniegu na rumuńskim froncie w chwili dawania ognia.



Z frontów bojowych: Austryacko-węgierska placówka wśród bagien wołyńskich



Pożegnanie namiestnika Dillera: Jenerał baron Eryk Diller.

woju kraju, za niezbędny czynnik w urzędowaniu politycznej władzy krajowej, to znaczy w pracy, która dobro publiczne, dobro państwa i kraju, oraz dobro wszystkich jego obywateli ma na celu.

W chwili, gdy Wasza Ekscellencya opuszcza dotychczasowe stanowisko, uważaliśmy za obowiązek dać wyraz tym naszym uczuciom i podziękować najserdeczniej, oraz życzyć, by Wasza Ekscelencya rozwijał pożyteczną działalność dla dobra państwa, kraju i ludzi.“

Ustąpienie austryackiego szefa sztabu jeneralnego.

Objęcie głównego dowództwa nad całą siłą zbrojną monarchii austryacko-węgierskiej przez cesarza Karola pociągnęło za sobą i liczne zmiany na naczelnych stanowiskach w armii. Niedawno donosiliśmy o ustąpieniu marszałka polnego, arcyksięcia Fryderyka, obecnie donoszą pisma codzienne o zwolnieniu z zajmowanego dotąd stanowiska szefa



Zgon posła: S. p. Michał ze Sichelburga Garapich, długoletni poseł do Rady Państwa i na Sejm krajowy, dyrektor krakowskiego Tow. Wzajemnych Ubezpieczeń.

sztabu jeneralnego, marszałka polnego Conrada v. Hötzendorfa.

Cesarz Karol wystosował przy tej sposobności



Ustąpienie austryackiego szefa sztabu jeneralnego: Jen. Conrad v. Hötzendorf (według fotografii z czasów objęcia szefostwa).

do zasłużonego jenerała pismo odręczne następującej treści:

„Kochany marszałku polny, baronie Conrad!

W pierwszych fazach tej wojny, Pan, jako doradca naczelnego komendanta armii, zrównoważyłeś gwałtowną przewagę naszych nieprzyjaciół przez jasne rozpoznanie ich słabych stron i przez nieustanną inicyatywę. Rozważny sąd Pański znalazł zawsze pewne wyjście z najtrudniejszego nawet położenia.

W dalszym ciągu tej wojny, Pan, w świadomem celu współdziałaniu z naszymi wiernymi sojusznikami — w decydującem miejscu i w odpowiednim czasie — potrafiłeś użyć koniecznych sił zbrojnych,





Z frontów bojowych:

Zburzony przez nieprzyjacielską artyleryę dom na zachodnim froncie. W fundamentach ziemianki i schroniska niemieckich żołnierzy.

Ruiny domu mieszkalnego około Montfaucon. Na pierwszym planie, pod powalonem drzewem, grób niemieckiego żołnierza.

potrafiłeś stworzyć na wszystkich terenach wojennych podstawę do zwycięskich operacyi i unicestwiłeś plany nowo powstałych, wiarołomnych przeciwników.

Także dla mnie byłeś pan zawsze doradcą pełnym poświęcenia i samozaparcia się.

Zwalniając pana obecnie ze stanowiska szefa sztabu jeneralnego mej całej siły zbrojnej, by użyć pańskie wypróbowane siły na innem ważnem stanowisku, odczuwam potrzebę dać Panu widomy znak Mego zaufania, oraz Mego wdzięcznego uznania niezapomnianych Pańskich zasług i nadaję Panu wielki krzyż Mego orderu wojskowego Maryi Teresy. — Obyś Pan w tem, że nadaję Panu ten krzyż, który na prośbę Mej wiernej, walecznej siły zbrojnej w dniu 17 stycznia 1917 r. przypiąłem sobie i od tego dnia noszę, widział wyraz Mego szczególnego uznania.

Baden, d 2 marca 1917

Karol w. r."

Marszałek polny, Conrad v. Hötzendorf, szef sztabu jeneralnego armii austro-węgierskiej przed wojną i od początku jej, aż do ostatnich czasów, położył dla jej rozwoju niespożyte zasługi. Nazwisko jego złotemi literami zapisało się na kartach dziejów austryackiego militaryzmu, za co go też spotkały w międzyczasie liczne dowody uznania ze strony sprzymierzonych monarchów, podwładnych i wogóle całego społeczeństwa. — Zasługom tym daje także wyraz pismo odręczne cesarskie, utrzymane w nader życzliwym tonie. — Równocześnie nadał cesarz Karol ustępującemu szefowi sztabu wielki krzyż wojskowego orderu Maryi Teresy. — Jest to najwyższe odznaczenie, jakie w Austryi spotkać może oficera za zasługi, położone na polu walki.

Słowa cesarskie „by użyć Pańskie wypróbowane siły na innem ważnem stanowisku", tłumaczą niektórzy w ten sposób, iż baronowi Conradowi powierzonem ma być bardzo ważne zadanie na jednym z frontów.

Na miejsce Conrada v. Hötzendorfa zamianował cesarz Karol szefem sztabu jenerałem jenerała piechoty, Artura Arza, którego nazwisko okryła sława wojenna w czasie przełamania frontu rosyjskiego na linii Limanowa-Łapanów, pod Brześciem Litewskim, a ostatnio w Siedmiogrodzie.



Młodzież ku czci trójcy wieszczów polskich: Wykonawcy wieczoru muzykalno-wokalnego, urządzonego przez realne gimnazyum żeńskie im. Słowackiego w Jarosławiu. (X) Reżyser prof. Kaniowski.

(Fot. H. Probstein, Jarosław).

Zgon posła.

Krakowskie Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń dotknął ciężki cios. W dniu 28. lutego b. r. zmarł po krótkich cierpieniach Michał z Sichelburga Garapich, dyrektor Towarzystwa, długoletni poseł do Rady Państwa i na Sejm krajowy, prezes Klubu autonomistów, właściciel dóbr Cebrów w powiecie tarnopolskim.

S. p. Zmarły dla zalet serca i umysłu cieszył się ogólną sympatyą i poważaniem, położył też niemałe zasługi dla naszego kraju, tak na niwie parlamentarnej na której gorliwie przez lat wiele pracował, jak też i na stanowisku dyrektora krakowskiej Floryanki, nic też dziwnego, że zgon jego prawie nagły wywołał w szerokich sferach miasta naszego i kraju głęboki żal i współczucie. Zmarł, licząc sześćdziesiąt siedm lat życia.

Pogrzeb ś. p. dyrektora Garapicha odbył się w dniu 3-go marca b. r. w Krakowie przy niezwykle tłumnym udziale publiczności. Kondukt żałobny prowadził ks. arcybiskup Symon w asystencyi licznego duchowieństwa. Trumnę ze zwłokami zmarłego posła złożono na czterokonnym karawanie okrytym wieńcami. Przed gmachem Towarzystwa przy ulicy Basztowej pożegnał Zmarłego dyr. St. Dydyński, a na cmentarzu nad grobem imieniem urzędników sekretarz Doermann.

Cześć Jego pamięci!



Z frontów bojowych: Narciarski posterunek na brzegu lasu we Wogezach

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

23

— Prawda, prawda... Przecież ja jestem odpowiedzialną za nią. Michnik... Boże mój! Ależ ona miała najwyżej trzydzieści koron przy sobie! Czy chociaż wzięła legitymacyę?

— Biedna dziewczyna — szepnął Walczak.

— Wiesz, Kazimierzu, dziwię ci się — wybuchnął Ludwik — Powiedz: waryatka! narwana! Żałuj nie jej, ale swojej żony, która na siebie ściągnęła tyle kłopotów! Taki skandal! I tego prawdziwie biednego Michnika, który, już nie wiem...

— Ludwiku, nie sądź tak porywczo! Widzisz, ten, jak go nazywasz, skandal, przykry dla nas, fatalny może dla samej Józi, dowodzi, że ta dziewczyna ma serce i kochać umie!

— Serce? Powiedz raczej: nerwy rozszalałe i kaprysy! Zresztą, co tu dużo gadać! Wszystkie baby, choćby zdawały się, że najrozsądniejsze, pełne są zawsze kaprysów i niespodzianek!...

— Nie dyskutujcie! Radźcie, co począć.

— Zatelegrafować do Malinewicza — zawołał Ludwik.

— Nie, nie! — protestowała Anielka — On taki bezwzględny!...

— Ale ojciec, i ma prawo upomnieć się o córkę!

— Anielka ma racyę — zdecydował Walczak — Malinewicz kazałby Józię sprowadzić przez policyę, a to byłoby na gorsze!... Wystarczy napisać do niego list. Kiedy Michnik wraca?

— Pojutrze.

— Będzie miał przyjemną niespodziankę... Zaiste, będzie mógł sobie zaśpiewać: „I byłbym za nią poszedł do piekła, gdyby nie była z innym uciekła“...

— Ludwisiu, jak możesz drwić?!

— Eh, bo mam dosyć babskich kaprysów!...

— Kaziu, ja pojadę sama do Zakopanego.

— Co? Ty, teraz, w twoim stanie zdrowia? Nie pozwolę na to! Możesz sobie zaszkodzić!

— Nie, Kaziuńku, nic mi nie będzie! Zdrowa jestem, pojadę wygodnie. Zamieszkam w pensyonacie u pani Skarszewskiej. A jechać muszę! Ludwik ma racyę. Ja przyjęłam na siebie odpowiedzialność..

Walczak wahał się widocznie, nie wiedząc, jak zadecydować.

— Pomyśl, takie szalone, niedoświadczone dziecko! Nic nie wzięła ze sobą, ani bielizny, ani sukien, ani pieniędzy! Ten Zarnicki może ma rodzinę przy sobie. Tam się nieszczęście jakieś stać może!...

— Więc dobrze, pojedziemy razem.

— Nie! Ty zostać musisz i powiedzieć wszystko Michnikowi!.. To taki cios dla niego...

— Niech i tak będzie! Tylko pamiętaj, Anielko, ostrożnie, rozważnie.. Uważaj na siebie!...

— Będę uważała. Kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Krakowa?

— Jutro w południe. Ale teraz siadaj, zjedz coś, napij się herbaty, a potem marsz spać, bo inaczej jechać nie pozwolę!...

ROZDZIAŁ XIII.

Józia wysiadła w Krakowie z pociągu, otulając się płaszczykiem i machinalnie poprawiając dosyć gęstą woalkę. Podczas drogi na stacyę przemokła silnie, ale zimna nie czuła, bo paliło ją wewnętrzne podniecenie. Oczy jej błyszczały nienaturalnie, a na policzkach miała wypieki, a wargi spieczone, jakby z gorączki.

Zapytała posługacza kolejowego, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Zakopanego.

— O godzinie jedenastej w nocy — brzmiała odpowiedź.

— To trzeba czekać jeszcze? — gorączkowo pytała Józia.

Posługacz spojrzał zdziwiony na panienkę, która zdawała się nie wiedzieć, o której godzinie przyjechała.

— To się rozumie, że trzeba czekać... Jeszcze przeszło godzinę!...

Czekać!... Nieznośnie, zgrzytliwie zabrzmiało to słowo w uszach dziewczyny. Czekać!.. To znaczy przeszło godzinę jeszcze drżeć z niecierpliwości i obawy; czekać, to znaczy siedzieć bezczynnie, kiedy w niej każda żyłka rwie się, żeby jechać prędzej i prędzej do niego... do Konrada! Ale trudno, pociągu niema, więc czekać trzeba...

Z trudem zdołała się wydostać ze ścisku, bo stacya literalnie zapchana była podróżnymi, wśród których przeważali wojskowi.

Skierowała się ku poczekalni. We drzwiach zatrzymał ją żandarm.

— Proszę o legitymacyę!

— Co?.. — podniosła na niego zdziwione oczy, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Legitymacyę proszę pani! — powtórzył żandarm już z pewnym naciskiem. Zaczynał trochę podejrzliwie patrzyć na tę młodą, zgrabną osóbkę która się dziwiła, że ją pyta o legitymacyę.

Prawda! Wszak to Kraków... twierdza! Każdy musi mieć legitymacyę przy sobie!

Poczuła, że ją przebiegł zimny dreszcz. Co będzie, jeżeli nie wzięła legitymacyi. Nie puszczą jej, nie puszczą do Konrada, a on czeka!...

O fatalnej sytuacyi swojej, o położeniu prawie bez wyjścia nie pomyślała Józia. Nic ją to teraz wszystko nie obchodziło. Ona miała tylko myśl jedną, pragnienie jedno...

Nie przyszła na nią jeszcze chwila otrzeźwienia. Trwała ciągle jeszcze w tym stanie niezwykłego uczuciowego i nerwowego podniecenia, w jakiem zdecydowała się uciec z Zalesinek.

Była pozornie przytomną, ale właściwie działała, mówiła, poruszała się, jak zahypnotyzowana, albo lunatyczka, cała energia jej woli w jednym skupiała się kierunku z jakimś maniackim uporem.

Szybko, drżącemi rękami otworzyła torebkę. Palce jej natrafiły na chłodny i sztywny karton fotografii. Głębokie westchnienie ulgi. Jest legitymacya!

Podała legitymacyę żandarmowi. Ten obejrzał uważnie fotografię i oddał ją bez słowa.

W poczekalni drugiej klasy, do której weszła Józia, piętrzyły się stosy pakunków, a ławki zajęte były do ostatniego miejsca. Mnóstwo osób tłoczyło się pod ścianami i około drzwi, czekając na pociąg.

Józia doznała nagłego dziwnego zawrotu głowy i musiała się oprzeć o ścianę, bo nogi się pod nią ugięły... W żołądku poczuła silną czczość. Młody, zdrowy organizm domagał się swoich praw. Przypomniała sobie, że od rana nic nie jadła. Mocą jakiejś dziwnej reakcyi ucisk gardła, które poprzednio miała jak zasznurowane, rozluźnił się i odezwało się uczucie silnego głodu.

— Muszę coś zjeść, bo inaczej zupełnie siły stracę.

Wyszła z poczekalni z zamiarem, aby zjeść coś w restauracyi kolejowej. Przedtem jednak chciała kupić bilet, ale okienko kasy było jeszcze zamknięte.

Skierowała się więc do bufetu i usiadła przy pierwszym lepszym stole.

Wchodząc do sali, nie spojrzała wbrew zwyczajowi swemu w lustro, nie poprawiła włosów, których zmoczone deszczem kosmyki wymykały się z pod ciemno zielonej czapeczki nie zwróciła uwagi, że płaszczyk jej ciężki jest od wilgoci.

Ona, tak dbała o powierzchowność swoją i ubranie, nie spostrzegła nawet, że buciki ma oblepione błotem i spódnicę zszarganą dołem...

Nie zauważyła także, że kilku młodych wojskowych ciekawemi spojrzeniami śledzi samotną, a tak młodą i ładną podróżniczkę.

Podszedł do niej kelner.

— Czem mogę służyć?

— Proszę szklankę herbaty i kawałek chleba z masłem!

— A czy ma pani kartkę chlebową?

— Nie, nie mam.

Gdzież ona miała pamiętać, że istnieją jakieś przepisy o kartach chlebowych, zwłaszcza, że od zwyczaiła się od nich podczas pobytu w Zalesinkach.

— W takim razie chlebem nie mogę służyć.. Może pani zje co innego? Może jajka na miękko albo jajecznicę?

— Niech będzie jajecznica.

Za chwilę przed Józią stała szklanka pełna żółtawej wody i miseczka z jajecznicą.

Zaczęła jeść ale jajecznica była tak nieszmaczna, na jakimś starym tłuszczu smażona i zaprawiona nieokreślonym bliżej preparatem, że Józia straciła apetyt nie tylko do jajecznicy, ale wogóle do jedzenia.

Chciwie tylko wielkiemi łykami wypiła herbatę, która wprawdzie bardzo mało zawierała esencyi herbacianej, ale była zato gorąca.

Skończyła pić, odsunęła szklankę, a potem oparła głowę o ścianę, na pół przymykając powieki.

Gorąca herbata i ciepło panujące w sali rozgrzały zmęczoną, zziębniętą dziewczynę i rozmarzyły.

W myśli jej, jak gdyby w kalejdoskopie przesuwały się obrazy chwil przeżytych w Pradze z Konradem.

A zdradliwa pamięć usuwała w cień wszystkie zazdrości i dąsy, gniewy i przykrości, których było tak dużo, a wyczarowywała wspomnienie szczęścia upojnego, bezmiernego.

I oto widzi Józia wielki park przecudny, biało-różowy w majowy poranek, pyszniący się szatą rozkwitłych drzew owocowych i siebie samą, młodziutką, szesnastoletnią dziewczynkę promieniejącą szczęściem i ufną miłością, zwieszoną u jego ramienia.

I jak żywego widzi przed sobą Konrada, jego twarz bladą i szczupłą trochę jakoby smutną i chorowitą — i oczy ciemne, aksamitne, tajemnicze i urocze — i uśmiech dziwnie chwytający za serce.

Słyszy dźwięczny głos męski, śpiewający ulubioną ich piosenkę:

„Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka...“

Albo szepcący tkliwie a namiętnie: „Józka, moja mała Józka“...

A teraz on nie wie, że ona jedzie do niego, że wkrótce już będzie przy nim, a tylko tęskni i „nie śmie marzyć“.

Chory, może ciężko chory.. Ale jak ją zobaczy, ucieszy się.. Będzie mu zaraz lepiej... Wyzdrowieje! Musi wyzdrowieć!

Jakaś bardzo głośno obok prowadzona rozmowa przywołała Józię do rzeczywistości, wyrwała ją z tego stanu półsnu, półmarzenia...

Nerwowym ruchem wyszarpnęła z za paska złoty zegarek, pamiątkę po matce i spojrzała.

— Pół do jedenastej!.. Za pół godziny odchodzi pociąg! Trzeba się spieszyć! Kupić bilet!...

— Płacić proszę! — zawołała.

Kiedy zapłaciła za herbatę i jajecznicę, przeliczyła swoje kapitały i aż przeraziła się że tak mało ma pieniędzy.

— To nic, pojadę trzecią klasą, bylem tylko zajechała.

Co będzie potem, nad tem nie zastanawiała się.

Zajęta sobą i własnemi myślami nie spostrzegła, że od dłuższego czasu śledzą każdy jej ruch czyjeś zielonkawe, rozbiegane oczy.

Niedaleko opodal siedział przy stole Stobiński, zwolna popijając piwo.

Gdy zobaczył Józię, drgnął, jakby przebiegł przez niego prąd elektryczny.

Józia o tej porze w restauracyi kolejowej sama! Co ona tu robi?!... Skąd i dokąd jedzie?.. Czyżby przyjechała do ojca? Ależ w takim razie nie siedziałaby na stacyi, tylko poszłaby prosto do domu.

Dlaczego nie towarzyszy jej Walczakowa albo... narzeczony?

Zgrzytnął zębami na wspomnienie narzeczonego, ale jednocześnie zaświtała mu jakaś nieokreślona, radosna nadzieja.

Błysnęły oczy Stobińskiego i rozdęły się nozdrza, jakby wietrzył coś niezwykłego.

Ta samotna podróż przed tak blizkim terminem ślubu zakrawa na coś podejrzanego, na jakiś skandal.

Nie uszło jego uwagi silne zdenerwowanie Józi ani też przemoczony płaszczyk, obłocone buciki i sukienka...

Więc chyba szła piechotą na stacyę i to podczas deszczu!... Nie odesłano jej w powozie? Dlaczego? Co to znaczy?

Może pogniewała się z Walczakami? Może zerwała? Zatrzęsły mu się ręce, zadrgała wysunięta dolna szczęka.

Co za szczęśliwy przypadek, że dzisiaj właśnie wybrał się do Skawiny, aby odwiedzić dawnego znajomego.

Przez chwilę wahał się, czy nie przywitać się z Józią, ale, rozważywszy wszystko, co zaszło, poniechał tego zamiaru.

— Nie trzeba płoszyć ptaszka przedwcześnie. Lepiej patrzmy, dokąd pofrunie. Może go będzie można jeszcze schwytać.

Brzydki uśmiech skrzywił mu usta.

Józia schowała pieniądze, zamknęła torebkę i wyszła z restauracyi, kierując się ku kasie.

W pewnem oddaleniu, jak cień, postępował w ślad za nią Stobiński.

Widział, że Józia kupuje bilet trzeciej klasy i słyszał nazwę stacyi: Zakopane.

Mózg jego zaczął energicznie pracować i kombinować.

Malinewiczówna nie ma żadnych pakunków ze sobą, jedzie trzecią klasą, zatem brakuje jej pieniędzy.

Nikt nie wybiera się do Zakopanego dla przyjemności bez rzeczy i bez gotówki.

A jej ruchy nerwowe, niespokojne spojrzenia, zaniedbane ubranie, wszystko to wygląda jak ucieczka!

Ale do kogo i dlaczego ucieka?

— Hm, zobaczymy!... — szepnął sam do siebie Stobiński.

Postanowił także jechać do Zakopanego.

— Jak to dobrze, że jutro niedziela!

Jeżeli ta podróż tajemnicza to rzeczywiście jakiś wybryk szalony, jakiś skandal, to Józia będzie skompromitowana.

Skompromitowana! A wtedy... wtedy. Stobiński jest cierpliwy i umie czekać!

Dzika radość wstrząsnęła nim. Zamajaczyła mu znowu nadzieja zdobycia pięknej i tak namiętnie pożądanej dziewczyny.

— — — — — — — — — — —

Józia, kiedy wsiadła do wagonu, poprosiła konduktora, aby jej wskazał przedział dla kobiet.

Zaledwie jednak spróbowała odsunąć drzwi „damskiego" schronienia, pasażerki, które się tam poprzednio wygodnie i szeroko zagospodarowały, podniosły taki pisk protestu, że postanowiła zrezygnować z roli intruza w tym „damskim" raju.

W ogólnym przedziale znalazła jakieś miejsce pomiędzy starym góralem, który palił fajkę, spluwając co chwila i żydem z pejsami, w brudnym, zatłuszczonym chałacie. Naprzeciw Józi siedziały dwie kobiety, ubrane po miejsku, ubogo. Obie odznaczały się charakterystyczną dla zbiedzonych i troskami znękanych kobiet, żółtością cery i głębokiemi zmarszczkami koło ust. Jedna z nich, młodsza i przystojniejsza, trzymała na kolanach dziecko, które przytuliwszy bladą, mizerną buzię do ramienia matki, spało.

Przedział był słabo oświetlony i tonął w półmroku, nie na tyle jednak, aby można było nie spostrzedz, że deski podłogi są brudne, zbłocone i oplute i że walają się po nich kawałki papieru, skorupki jaj i wogóle różne śmieci i odpadki.

Powietrze przesycone było wonią najtańszego tytoniu i odorem potu ludzkiego. Kiedyindziej byłaby się Józia może wzdrygnęła z obrzydzenia, albo przynajmniej skrzywiła z niezadowoleniem, ale ostatecznie po pewnym czasie wdałaby się z towarzyszami podróży w swobodną, może nawet serdeczną gawędę. Dzisiaj jednak nic ją nie raziło i nic nie obchodziło. Nie miała ochoty ani patrzyć, ani słuchać, ani mówić, ani nawet myśleć. Chciała tylko jechać, jak najprędzej jechać!...

Nareszcie pociąg z głośnym gwizdem ruszył. Dziecko, które trzymała na kolanach sąsiadka Józi, zbudzone tym hałasem, rozpłakało się. Matka zaczęła je huśtać na rękach i uspokajać.

— Cicho, cicho, mój robaczku! Moja biedota!.. Do tatusia jedziemy... do tatusia! Ot, płacze, bo słabiutkie, mleko teraz od święta chyba widzi — zwróciła się do siedzącej obok niej kobiety.

— Że też to pani taką kruszynę w drogę zabiera — zauważyła tamta.

— Do męża z niem jadę. Przy trzynastce służy w Nowym Sączu, do pola odjeżdżać ma... Przy kimże je zresztą zostawię. Niech i ono zobaczy ojca... niech i ono się ucieszy! Może ostatni raz... Cicho, Staszku, cicho śpij!

Łzy zabłysły w oczach kobiety i stoczyły się po jej przedwcześnie zwiędłych policzkach.

— Niechże pani sobie tak do głowy nie przybiera! Niejeden idzie i nic mu... Trzeba Bogu ufać!

— A ileż ten mały ma?

— Dwa lata mu minęło w sierpniu.

— O, to malutki jeszcze na ten wiek!

— Jakże niema być malutki i słaby, kiedy to ani mleka, ani kaszki, ani jajka, ani czego! I dostać trudno, a choćby kupić można, to mam to pieniądze? Pięćdziesiąt cztery korony zasiłku... to z tego i mieszkanie opłać i wyżyw się i obuj siebie i dziecko...

— Czemuż jakiej roboty pani nie poszuka, albo służby?

— Dziecka nie mam przy kim zostawić. Pranie do domu biorę, ale co to za zarobek, kiedy mydło takie drogie! A pani daleko jedzie?

— Pod Kalwaryę, moja pani! Mam tam rodzinę, to sobie może coś nie coś ze wsi przywiozę. Mam to ja czas i zdrowie w ogonkach stać po pół dnia albo i pół nocy?

— Oj, prawda! Bieda, to bieda! Ciężko, widać, ludzie zgrzeszyli, kiedy teraz cierpieć muszą!

— Nie wszyscy! — sarknęła jakaś inna kobieta, staranniej i cała czarno ubrana. — Są tacy, co na ludzkiej krzywdzie brzuchy pasą i kabzy nabijają!

— Oj, są!...

— To są czasy, żeby takie czasy nigdy nie było — wtrącił się do rozmowy żyd.

— Wy tam, żydy, najwięcej wiecie, co to bieda! Widział kto kiedy żyda, albo żydówkę w ogonku? Wy tylko pieniądze zbijacie i naszą biedą się bogacicie! — ozwała się ostro kobieta w czerni.

— O! To prawda — ozwał się ktoś.

— Prawda, prawda! — przytakiwano.

Jakiś prąd niechęci przebiegł przez to skłopotane zbiorowisko ludzi.

— Co pani chce odemnie? — bronił się żyd — ja się nie bogacę, ja dużo stracił. Moje syn w interes pomagał, teraz to on przy wojsku. On już we Wiedniu dwa lata służy!

— To ci daleko! We Wiedniu!

Stary góral, który milczał dotychczas, wytrząsnął popiół z fajki na ziemię i odezwał się powoli, dobitnie, wymawiając każde słowo:

— Ja pięci miołek synów, a teroz nimom żadnego. Sam na gospodarce ostałek... Dwóch zginęło, dwóch przy „jeńfonteryji", a piąty nomłodszy, co mu szesnoście roków było, przy „legonach".

— Czemużeście pozwolili iść?

— Jak nie zezwolić, kiedy na Polskę zaklinał! „Pódem i pódem, tatusiu!" Taki patry-o-ta!

Słowo „patryota" błędnie wymawiał, ale znać było, że dobrze rozumie i głęboko czuje jego znaczenie.

— Tak, wszyscy mówią, że z tego będzie Polska.

— Będzie, musi być! — przyświadczył twardo, tonem niewzruszonej pewności góral.

— A czy się to kto Polską odzieje, albo nakarmi — wtrąciła znowu kobieta w czerni, widocznie bardzo zgryźliwie, żółciowo usposobiona.

— Tak, pani, nie powiadajcie, bo to grzek i wstyd — skarcił ją stary gazda.

— A skąd wy, panie gospodarz, jesteście? — wtrącił się znowu do rozmowy żyd.

— A od Czarnego Dunajca.

— A jajki to tam u was dużo jest?

Te i tym podobne rozmowy obijały się o uszy Józi, ale nie wnikały do jej świadomości. Słyszała pojedyncze słowa, ale nie wiązały one się dla niej w żadną całość. Oparła się o twardą poręcz ławki, głowę na piersi pochyliła i snuła nić półsennych marzeń.

Stobińskiego nie zauważyła na stacyi, to też nie miała pojęcia, że jedzie on tym samym pociągiem.

— — — — — — — — — — —

Zakopane!

Donośny głos konduktora obudził Józię ze snu, w który zapadła, ukołysana jednostajnym łoskotem pociągu i wyczerpana kilkogodzinną jazdą. Szybko zerwała się z ławki i przetarła oczy. W przedziale prócz niej nie było już nikogo. Przez okno zaglądał szary świt.

— Zakopane... nareszcie!

Pospiesznie wyskoczyła z pociągu. Owiało ją mroźne tchnienie górskiego październikowego poranku. Otuliła się szczelniej swoim płaszczykiem i, drżąc z zimna, weszła do poczekalni.

Było tam pusto i także zimno, ale zawsze trochę cieplej, niż na dworze. Jedna lampa naftowa z okopconem szkłem oświetlała poczekalnię, mieszając swój mdły blask z szarzyzną świtu, który leniwie sączył się poprzez szklane drzwi.

Józia spojrzała na zegarek. Wskazywał dopiero godzinę szóstą. Dziewczyna zrozumiała, że o tak wczesnej porze nie może iść do Żarnickiego i że trzeba czekać jeszcze.

Żeby się rozgrzać trochę, zaczęła szybko chodzić po poczekalni. Podczas tej przechadzki spojrzenie jej padło na taflę lustra.

Przystanęła dopiero teraz z przestrachem, zauważyła, że wygląd jej pozostawia dużo do życzenia.

Twarz przybrudzona pyłem, poczerniona nawet w kilku miejscach sadzą, włosy rozczochrane, płaszczyk zmięty, buciki i sukienka obłocone.

Tak przecież nie może pokazać się Konradowi! Szybko zakrzątnęła się, aby choć trochę zetrzeć ślady tego zaniedbania.

Znalazła kran z wodą, zmyła z twarzy pył i sadzę, używając chusteczki do nosa zamiast ręcznika. Potem rozpuściła swoje bujne włosy i z pewnym trudem uczesała je grzebieniem, służącym do podtrzymania fryzury.

Zdjęła płaszczyk, wygładziła go jak mogła i starała się rękami wykruszyć błoto z sukni i bucików.

Kiedy już jako tako doprowadziła do porządku swoje ubranie, włożyła znowu czapeczkę i zawiązała woalkę, dłużej i uważniej przyjrzała się teraz sobie w lustrze.

Skonstatowała, że bardzo źle wygląda. Jest blada, oczy ma podsiniałe i wargi spękane.

— Co Konrad powie, jak mnie taką zobaczy? Może wydam mu się brzydszą, niż dawniej?

Nagle uśmiechnęła się szczęsnym uśmiechem kobiety zakochanej i ufnej.

Wspomnienie przyniosło jej echo słów dobrych, serdecznych: „Tyś dla mnie zawsze ładna, Józiu."

— Moje uszanowanie pani! — zabrzmiał poza jej plecami głos męski, na dźwięk którego drgnęła przerażona.

Obróciła się i cofnęła o krok. Zdało się jej, że jest ofiarą majaczenia gorączkowego.

Przed nią, jak najsłodziej uśmiechnięty, z czarnym „melonikiem" w ręce, stał Stobiński.

— Moje uszanowanie! — powtórzył — Pani tak sama?

Józia zrozumiała, że to rzeczywistość, że to istotnie Stobiński stoi przed nią i przypatruje się jej chytrze i badawczo.

Boże! Żeby tylko nie zdradzić się przed nim!

Świadomość niebezpieczeństwa wróciła Józi przytomność umysłu.

Podała Stobińskiemu rękę uprzejmiej, niżby to w innym wypadku uczyniła i odpowiedziała pospiesznie:

— Przyjechałam do kuzynki pani Walczakowej. Ma ona tutaj pensyonat.

— I nikt pani nie oczekiwał?

— Nie wiedzieli, że tym pociągiem przyjadę. Zapomniałam zatelegrafować.

— Może dopomódz pani przy odebraniu rzeczy?

— Nie! Dziękuję. Rzeczy przyjdą dopiero następnym pociągiem.

Kłamała bardzo niezręcznie i czuła, że Stobiński jej nie wierzy.

Jego uporczywe spojrzenie, wzrok jadowitego węża, hypnotyzującego swoją ofiarę, mieszał ją, trwogą napełniał, a jednocześnie zaczynał się w niej budzić gniew...

— Żegnam pana... Już muszę iść...

Stobiński ukłonił się w milczeniu i ku wielkiej radości Józi nie narzucał jej wcale swego towarzystwa.

Wolał szpiegować ją z oddali niespostrzeżony.

— — — — — — — — — — —

Józia po raz pierwszy była w Zakopanem, a o piękności tej „perły" Tatr słyszała i czytała dużo. Chociaż nie usposobiona do zachwycania się cudami przyrody, jednak z mimowolną ciekawością rozglądała się wokoło, idąc naprzód Chramcówkami, a potem ulicą Marszałkowską.

Szukała wzrokiem gór, ale napróżno.

Kapryśne Zakopane niegościnnie ją przyjęło. Deszcz nie padał wprawdzie, ale szara, gęsta płachta mgły osłoniła doszczętnie góry.

Józia nie widziała nic, prócz kłębów mgły, błota, smutnych, zczerniałych, teraz szronem ściętych łąk i will cichych, snać we śnie jeszcze pogrążonych.

Dotkliwe zimno dawało się porządnie we znaki dziewczynie, nie oswojonej z górskim porannym chłodem i nieodpowiednio ubranej.

Józi kostniały ręce w skórkowych rękawiczkach, marzły jej palce u nóg w cienkich bucikach. Mroźny powiew wiatru szydził sobie z płaszczyka na cienkiej podszewce i smagał poprzez woalkę delikatną twarz.

Zziębnięta, postanowiła wejść do kawiarni Przanowskiego, która była już otwarta.

I tak godzina była zbyt wczesna na odwiedziny, a pusty żołądek domagał się jakiegoś pożywienia i szklanki gorącego napoju.

Przez werandę weszła do sali i usiadła w najciemniejszym kącie. Nie chciała ściągać na siebie ciekawych spojrzeń, a nie była jedynym gościem w kawiarni. Pomimo porannej pory, kilka stolików było zajętych. Ponieważ na kawę trzeba było czekać, więc wzięła Józia do ręki leżący obok „Czas". Osłaniając w ten sposób twarz wielką płachtą dziennika, udawała, że czyta...

Nie widziała też, że do sali wszedł Stobiński i usadowił się w ten sposób, aby mógł obserwować Józię nieznacznie, bez zwrócenia jej uwagi na siebie. Miał teraz dowód oczywisty, że kłamała. Gdyby przyjechała do jakiejś tam kuzynki, nie siedziałaby w tej chwili w kawiarni, nie udawałaby, że czyta „Czas".

— W tem tkwi jakaś gruba awantura — zadecydował, rozcierając zziębnięte ręce.

Ze smakiem jadł śniadanie, nie odwracał jednakże wzroku od Józi... Widział, że Józia odłożyła gazetę i z taką pożądliwością zaczęła pić gorącą kawę, przegryzając biszkoptową babką, jakby była zagłodzona.

Kiedy się nasyciła, oparła się plecami o poręcz kanapy i trwała bez ruchu. Mogłoby się zdawać, że drzemie, gdyby nie to, że co jakiś czas sięgała po zegarek.

Kiedy ścienny zegar wybił godzinę pół do dziewiątej, zerwała się, zapłaciła i wyszła.

— — — — — — — — — — —

W cienistej, smutnej od ciemnych świerków ulicy przytaiło się małe, prywatne sanatoryum, którego adres podał Józi Żarnicki.

Dziewczyna odszukała je z łatwością i teraz stała u drzwi wchodowych, drżąca i niepewna... Długą chwilę wahała się, zanim zdecydowała się zadzwonić. Drzwi otworzyła jej młoda, przystojna służąca w ciemnej sukni, białym fartuchu i białym motylku we włosach.

— Czego pani sobie życzy?

(Dalszy ciąg nastąpi)

Odznaczenie „krakowskich dzieci" i ich komendanta.

Życiem i losami „krakowskich dzieci", tworzących szesnasty pułk piechoty obrony krajowej, zajmowaliśmy się już niejednokrotnie i nieraz jeszcze, o ile tymczasem wojna się nie skończy, do nich powrócimy. Wśród trudów i niewygód obozowego życia na wschodnim froncie, nie straciły nasze dzielne zuchy nic ze swej przysłowiowej wesołości i fantazyi, co im zupełnie nie przeszkadza w sumiennem wypełnianiu obowiązków żołnierskich. Dzięki tym przymiotom zdobyli sobie ogólne uznanie i pochwały towarzyszy broni, należących do innych narodowości i stali się postrachem Moskali, nieproszonych sąsiadów tylko o miedzę.

Jaki duch panuje w obozie szesnastego pułku, w jego rowach strzeleckich i ziemiankach, na kwaterach i biwakach, wyobrazi sobie każdy, kto czytał poprzednie artykuły w tej kwestyi, oparte na autentycznych istotnie informacyach „specyalnych" naszych sprawozdawców, należących do składu pułku „krakowskich dzieci", a chcących w ten sposób zapoznać swoich w kraju w różnemi perypetyami żołnierskiego żywota. Prawdziwy Krakowiak, czy on będzie na wozie, czy pod wozem, nigdy nie zwątpi w swe siły i szczęście, jakie mu zawsze zwykło towarzyszyć i choćby się znalazł i w krytycznem położeniu, które dla innego mogłoby się zdawać bez wyjścia, poradzi sobie i wyjdzie cało z opresyi.

Że nie są to tylko czcze słowa lub przechwałki, dowodem nowa serya fotografii, nadesłanych nam z frontu wraz z krótką informacyą, bo Krakowiak ma to do siebie, iż chwalić się nie lubi. Jeżeli jednak czytamy często o odznaczeniach, jakie spadły na inne gatunki broni, ciekawi jesteśmy, dlaczego nie wspomnieć i o naszych najbliższych, skoro im się to słusznie należy!

Notatka, odnosząca się do zamieszczonych w niniejszym numerze fotografii, przedstawiających dekorowanie „krakowskich dzieci", nadesłaną nam została wprost z frontu, a brzmi dosłownie, jak następuje:

„Krakowskie dzieci umieją się bawić, walą ale Moskali, co się zowie, jak to miało miejsce przed tygodniem, gdzie mała garstka „szesnastki" w nocy tak poturbowała dziesięć razy silniejszego naszego odwiecznego wroga, że otrzymała za to pięć wielkich i trzy małe srebrne medale waleczności, oraz piętnaście bronzowych i pięć medali wojennych niemieckich, a to wszystko za *jedną tylko noc!...*"

A nie pierwsza i nie ostatnia to uroczystość tego rodzaju w „szesnastce". Są one na porządku dziennym i skrzętnie notowane zostają w historyi pułku dla wiadomości potomnych. Ze zdjęć odnoszących się do życia „szesnastaków", zamierza komenda pułku sporządzić ozdobne album i ofiarować je po wojnie miastu, celem umieszczenia w Muzeum Narodowem.

Prawdziwem świętem dla całego pułku było odznaczenie ukochanego komendanta, pułkownika Hohenauera, wojskowym krzyżem zasługi trzeciej klasy z dekoracyą wojenną. W uroczystości wzięli gremialny udział oficerowie pułku i żołnierze, by w ten sposób okazać swemu opiekunowi i dobrodziejowi prawdziwie synowską wdzięczność za jego trudy i starania około dobra podwładnych. Wspominaliśmy już poprzednio, że w pułku „krakowskich dzieci" wyrobiły się stosunki tego rodzaju, iż wszyscy uważają się za jedną wielką rodzinę, dziś mamy znowu nowy przykład, że tak jest — nie inaczej. Jednem słowem, Kraków może być dumnym ze swych „dzieci"!



Odznaczenie „krakowskich dzieci" i ich komendanta: Deputacya oficerów składa życzenia odznaczonemu pułkownikowi Hohenauerowi (X).



Odznaczenie „krakowskich dzieci" i ich komendanta: Uroczyste przypięcie odznaczeń.

Wojenne pieniądze w Królestwie Polskiem.

Królestwo Polskie znajduje się obecnie w czasie przejściowym, co odbić się musi naturalnie na wszystkich dziedzinach życia. Widzimy to choćby tylko na pieniądzach, będących w użyciu na okupowanych terenach. W okupacyi niemieckiej starano się zaprowadzić rachunek na marki w austryackiej na korony, tu przecież i tam rubel i kopiejka, do których ludność się przyzwyczaiła, cieszy się największą popularnością i utrzyma się w obiegu najprawdopodobniej aż do chwili zaprowadzenia obowiązkowego kursu monety polskiej.

Na razie, aby zapobiedz brakowi obiegowej monety, który we wszystkich okolicach Królestwa Polskiego daje się we znaki, rozmaite instytucye finansowe wydają papierowe bony, opiewające tak na ruble i kopiejki, jak i marki i fenigi. Niektóre z nich są bardzo ciekawe, jak na przykład wydany przez Wschodni Bank dla handlu i przemysłu w Poznaniu bon kasowy, którego reprodukcyę podajemy w niniejszym numerze. Emitowano je na rozmaite kwoty z przeznaczeniem dla niemieckiej okupacyi na wschodzie, a opiewają na kopiejki i ruble.

Niezależnie od tych najrozmaitszych banknotów, wydawanych dla obszarów okupowanych, władze okupacyjne rozpoczęły w Królestwie Polskiem bicie polskiej monety. Zawiadamia o tem „obwieszczenie urzędowe", które brzmi, jak następuje:

„Szef administracyi przy generał-gubernatorstwie warszawskiem upoważniony jest do wybijania zdawkowej monety z żelaza lub aluminium dla obszaru generał-gubernatorstwa.

Jednostkę monetarną stanowi marka polska, która dzieli się na sto fenigów.



Odznaczenie „krakowskich dzieci" i ich komendanta: Pułkownik Hohenauer (X) podejmuje przybyłą z życzeniami deputacyę oficerów pułku.





Wojenne pieniądze w Królestwie Polskiem:
Bon pięćdziesięciokopiejkowy, wydany dla okupacyi niemieckiej przez Wschodni Bank dla handlu i przemysłu w Poznaniu.
Odwrotna strona bonu pięćdziesięciokopiejkowego z napisami w językach krajowych.

Ogólna suma monet zdawkowych nie może przekroczyć dwudziestu milionów marek.

Nikt nie jest obowiązany przyjąć przy wypłacie więcej zdawkowej monety, niż na sumę pięciu marek. Kasy publiczne przyjmują przy wpłatach zdawkową monetę w każdej ilości.

Obowiązek przyjmowania zdawkowej monety nie dotyczy monet przedziurawionych, takich, których waga została zmniejszona w inny sposób, jak przez zwykły obieg jakoteż monet fałszywych.

Monety, które skutkiem dłuższego obiegu i zużycia straciły znacznie na wadze lub stały się nie do rozpoznania, należy wycofać z obiegu na koszt kasy głównej generał gubernatorstwa.

Jeżeli wydane będzie rozporządzenie wycofania z obiegu monet zdawkowych, natenczas winien być utrzymany roczny termin od daty ogłoszenia rozporządzenia dla przeprowadzenia wycofania.

Monety zdawkowe mają na stronie czołowej orła polskiego, na odwrotnej stronie podana jest wartość i rok.

Przepisy wykonawcze wydaje szef administracyi. Muszą one dokładnie ustalić wielkość i wagę monet.

Rozporządzenie nabiera mocy obowiązującej z chwilą jego ogłoszenia."



Z frontów bojowych: Niemiecka patrol narciarska w Wogezach przeszukuje okolicę.

Tragiczny zgon dyrektora drukarni.

Dnia 26. lutego o godzinie czwartej po południu zdarzył się tragiczny wypadek w hali maszyn drukarni „Czasu". Po rozpoczęciu druku dziennika, dyrektor drukarni, Aleksander Swierzyński, zauważył, że walce w płaskiej maszynie rotacyjnej źle funkcyonują. Wszedł więc po stopniach popod tę maszynę



Tragiczny zgon dyrektora drukarni: S. p. Aleksander Świerzyński, dyrektor drukarni „Czasu", starszy gremium drukarzy i litografów.

i kontrolował walce. Przy wychodzeniu z pod maszyny zdarzyło się nieszczęście. Jeden walec chwycił ś. p. Aleksandra Swierzyńskiego za włosy i przycisnął go do stalowego cylindra, tak, że nastąpiło zupełne zgniecenie głowy i śmierć w jednej sekundzie. Zgnieciona głowa ociekała strumieniem krwi. Zatrzymano natychmiast maszynę, lecz, niestety, z pod maszyny wydobyto już tylko zwłoki ofiary nieszczęśliwego wypadku.

Zmarły tragicznie dyrektor drukarni „Czasu" był synem ś. p. Saturnina Swierzyńskiego, znanego artysty-malarza. Zawód drukarski rozpoczął w drukarni



Z frontów bojowych: Niemieckie działo polowe, zabezpieczone przed atakami lotników. (Motyw z zachodniego frontu)

„Czasu". gdzie ostatecznie, po śmierci ś. p Józefa Łakocińskiego, zajął stanowisko zarządcy drukarni. Pod jego kierownictwem wyszło drukiem bardzo wiele dzieł. które uzyskały ogólne uznanie fachowców. Osierocił żonę i dwie córeczki. Umarł tragicznie w dniu swoich imienin. Rano był w kościele, wyspowiadał się i przyjął komunię św., jak gdyby w przeczuciu niedalekiego zgonu.

S. p. Aleksander Swierzyński liczył lat 55. Przez



Z frontów bojowych: Niemieccy narciarze w Wogezach na patroli.



Z frontów bojowych: Odstawienie do obozu jeńców uchodźców rumuńskich i rosyjskich, którzy przekroczyli granicę.

życie całe odznaczał się niezwykłą pracowitością, dobrocią serca i uczynnością. Jako drukarz z zamiłowaniem uprawiał dział zdobnictwa i druków kolorowych, jako kierownik zakładu największą wagę przywiązywał do staranności wykończenia druków. Nie uchylał się też nigdy od spraw, dotyczących organizacyi drukarzy. Przez szereg lat był członkiem chóru drukarzy, teatrów amatorskich, czynnym członkiem emerytalnego stowarzyszenia „Siła" brał udział w sprawach cennikowych, a następnie w organizacyi pracodawców, zasiadał w sądach rozjemczych i ostatecznie wybrany został starszym gremium drukarskiego. O interesy robotników stale patronował, obowiązki spełniał gorliwie i sumiennie, a w swoim zawodzie był fachowcem znakomitym.

Tragiczna śmierć ś. p. Aleksandra Swierzyńskiego pozostawia szczery żal i smutek u wszystkich, którzy się z nim stykali, był to bowiem wielkiej zacności pracownik, chluba drukarzy krakowskich, o gorących uczuciach patryota polski.

Pogrzeb ś. p. Aleksandra Swierzyńskiego był wyrazem tej sympatyi, jaką otaczano powszechnie Zmarłego. Na trumnie złożono szereg wieńców od przyjaciół i znajomych. Po wyprowadzeniu zwłok z kaplicy cmentarnej, ruszył orszak żałobny na miejsce wiecznego spoczynku. Kondukt pogrzebowy prowadził ks. kanonik Kądzioła w asystencyi bardzo licznego duchowieństwa. Za trumną szła ciężko dotknięta rodzina Zmarłego, następnie Krystyna hr. Potocka, właścicielka drukarni „Czasu", urzędnicy i funkcyonaryusze tej drukarni, grono redakcyjne „Czasu", właściciele i dyrektorowie drukarń krakowskich, bardzo liczna rzesza drukarzy i introligatorów miejscowych, przyjaciele i znajomi Zmarłego.

Po odprawieniu modłów przez duchowieństwo, złożono zwłoki na wieczny spoczynek.

Z frontów bojowych.

Jak wskazują wiadomości, nadchodzące ze wszystkich frontów, wszędzie liczą się z możliwością nowej ofenzywy, którą koalicya zamierza niebawem rozpocząć. nie tając się przytem ze swymi planami. O tych przygotowaniach do przyszłej ofenzywy na froncie rosyjskim pisma szwajcarskie podają z Petersburga następujące wiadomości:

„Wodzowie wojsk rosyjskich, pomiędzy nimi Hurko, zastępujący chorego Brusiłowa, oświadczyli, że trwający od kilku miesięcy spokój na froncie rosyjskim ustanie wkrótce, gdyż podjęta zostanie ogólna ofenzywa na całym froncie rosyjsko-rumuńskim. Czas długiego spokoju posłużył do tem raźniejszych czynności poza frontem. Armia, po części zupełnie świeża i na nowo uzbrojona, zaopatrzona zwłaszcza w najnowsze działa, jest gotowa, ażeby uderzyć równocześnie ze sprzymierzonymi.

Generał Hurko oświadczył, że ma zupełną nadzieję odzyskania utraconych terytoryów. Okaże się, że materyał ludzki Rosyi jest niewyczerpany, gdyż obecne wojska rosyjskie przewyższają liczebnie dawną armię. Obecnie podjęta zostanie równoczesna ofenzywa na wszystkich frontach."

Tymczasem Rosyanie to tu to tam usiłują próbować szczęścia w lokalnych przedsięwzięciach. Taki epizod rozegrał się przed kilku dniami przy przełęczy Tatarskiej, która w lecie roku zeszłego przez czas dłuższy nie ustępowała z tekstu komunikatów wojennych i dopiero z nastaniem zimy znikła gdzieś pod nasypami śniegu.

Otóż zdawało się przed kilku dniami Rosyanom, że również czujność sprzymierzeńców zdrzemnęła może w śnieżnych uściskach zimy. Przez siedm godzin grzmiało i huczało w zabitych od świata deskami ostępach. Hurmą potem runęła nawała rosyjska na okopy przeciwnika i w pierwszej chwili udało się jej nawet wpaść do naczółkowych linii. Ale z miejsca zerwał się energiczny kontratak i odrzucił nieprzyjaciela daleko od linii sprzymierzeńców.

Na froncie zachodnim umiarkowanie pracuje artylerya, a mniejsze i większe oddziały ucierają się, zaprzątnięte zbieraniem wywiadów. Poniesionei klęski w Szampanii nie mogą ani rusz strawić Francuzi. Więc dnia 23-go lutego gwałtowne wymierzyli uderzenie w stronę Ripont, zajętego przed ośmiu dniami przez Niemców. Mimo dokładnego przygotowania artyleryjskiego i mimo wielkiego sił naprężenia, ataki nie przyniosły oczekiwanego wyniku.





Z frontów bojowych: W menaży drugiego batalionu 16. p. p. obr. kraj., o trzysta kroków od stanowisk Moskali. Przygotowanie menaży dla 16. pułku piechoty obrony krajowej w polu.



Z frontów bojowych: Wieśniacy z Bessarabii, uciekający przed nadciągającym nieprzyjacielem.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

5

— Na odpowiedź nieoczekiwaną miss Farmann, koroner zareplikował natychmiast, że ostatnie słowa wyrzekł bez żadnej osobistej intencyi i że wogóle nie wie o istnieniu młodego Hildreth'a.

— To pewien pan z Chicago, proszę pana — wyjaśniła miss Farmann — który miał wejść w posiadanie majątku mojej kuzynki po jej śmierci.

— Jakże to? Mówiła pani, że pani Clemmens nie posiadała innych krewnych!

— Pan koroner ma słuszność, ale pan, o którym mówię, nie był z nią spokrewnionym. Zdaje mi się nawet, że nie znali się osobiście. Okoliczność, o której wspominam, pochodzi z testamentu dziadka pana Hildreth'a.

— Testament? Proszę to wytłumaczyć.

— Mój Boże, proszę pana, jestem bardzo nieświadoma w kwestyach prawnych. Zapewne powiem jakieś głupstwo, ale oto, co wiem i co potrafiłam zrozumieć. Dziadek pana Hildreth'a zgromadził dosyć znaczny majątek i nie chciał, aby majątek ten został zniszczony przez syna, który był lekkomyslnym człowiekiem. Napisał więc testament, w którym było nadmienione, że majątek przejdzie w ręce prawnych posiadaczy dopiero po śmierc dwóch osób, wybranych przez niego. Było to dwoje dzieci: syn jednego z jego urzędników, który zmarł wkrótce i moja kuzynka. O óż, ponieważ ojciec młodego Hildreth'a zmarł również, istnienie pani Clemmens sprzeciwiało się, aby młody Hildreth i dwie jego siostry pod ąć mogli majątek, zapisany im przez ojca.

— Hm, hm! Ciekawy sposób robienia testamentu! Czy nie wiadomo, co się stało z tymi Hildreth'ami?

— Nie wiem dokładnie, proszę pana. Wiem tylko, że w pewnym okresie czasu młody Hildreth znany był w najlepszych kołach towarzyskich w Chicago, ale później utrzymywano, że żył ponad stan swój i narobił wiele długów.

— Czy znanem jest pani imię tego pana?

— Tak panie Gordon, Gordon Hildreth!

— Gordon Hildreth — powtórzył pan Fradwell, szukając czegoś pomiędzy aktami rozłożonymi przed nim. Po chwili wyciągnął arkusz papieru, który wolno rozwinął.

— Czy może mi pani powiedzieć — podjął po chwili — czy kuzynka pani wiedziała o tem zastrzeżeniu, zawartem w testamencie?

— Tak, panie!

— Czy nie skarżyła się kiedy za nadużycie jej osoby i sytuacyi, w jakiej się znajdowała wobec sukcesorów?

— Tak, panie! Była bardzo niezadowolona z tego.

— A czy nie wyrażała kiedy obaw w tym względzie?

Na twarz miss Farman wystąpił wyraz zmieszania.

— Nie wiem, doprawdy, co panu mam na to odpowiedzieć — odparła po chwili wahania. — Nie śmiem wyrazić, że kuzynka moja miała obawy uzasadnione, ale jasnem było, że dręczyła ją myśl, iż są na świecie ludzie, którym zależało na jej śmierci. „To nie moja wina, jeżeli przeszkadzam tym młodym Hildrethom do podjęcia należnego im majątku, ale też nie dziwiłabym się, gdybym kiedy to okupić musiała cierpieniem“.

Słowa te wywołały na sali szmer tak głośny, że koroner musiał przywołać publiczność do porządku.

— Dokąd byłyście rozdzielone z kuzynką, miss Farman? — zapytał następnie — musiałyście utrzymywać korespondencyę między sobą?

— Tak jest, proszę pana.

— Zechciej pani spojrzeć na ten list, znaleziony między drobiazgami zmarłej. Czy sądzi pani, że ten był dla pani przeznaczony?

— Z wszelką pewnością, proszę pana — odparła miss Farman po przeczytaniu listu.

— Może zechce go pani przeczytać głośno. Panowie sędziowie zapewne uważnie zapamiętają sobie treść tego pisma, napisanego przed samą śmiercią pani Clemmens.

Miss Farman wykonała rozkaz koronera głosem drżącym i niepewnym.

— Wielki Boże! — zawołała, przeczytawszy ostatnie słowa.

Zbladła przeraźliwie i wlepiła w koronera wzrok osłupiały.

— Ostatnie pytanie, proszę pani. Wyrażając je, przechodzę może granice prawem nałożone, ale są dzę, że ważność okoliczności będzie dla mnie wytłumaczeniem. Przypuśćmy, że pani Clemmens list ten zakończyłaby i wysłała, do jakiej konkluzyi byłaby pani doszła przeczytawszy go?

— Zdaje mi się, że mogłabym dojść tylko do jednej. Powiedziałabym, że życie samotne, które ku zgubie wiodła od tak dawna, wpłynęło na osłabienie jej władz umysłowych.

— Ale te obawy, te przeczucia, opisywane przez nią, do kogo odnosić się mogą?

— Bardzo mi ciężko wyrazić swoją myśl, proszę pana. Niech mi Bóg wybaczy, jeżeli uczynię krzywdę niewinnemu, ale w tych warunkach byłoby mi trudno nie pomyśleć o...

— O kim, miss Farman?

— O panu Gordonie Hildreth.

Niespodzianka.

Badanie miss Farman było ukończone. Podczas kiedy stara panna wychodziła z sali, wzruszona i przejęta ważnością chwili, pan Byrd miał sposobność rzucić okiem w stronę drzwi, przy których stał ciągle jeszcze opasły nieznajomy, którego twarzy detektyw dojrzeć nie mógł. W tej samej chwili ręka tego człowieka wyciągnęła się ku kapeluszowi, leżącemu przed nim na posadzce i wyciągnęła z niego chustkę do nosa. Biała to ręka biała, starannie pielęgnowana; na małym palcu błyszczał przepiękny, herbowy pierścień.

— Ręka człowieka z wyższego towarzystwa — pomyślał detektyw — a pierścień niebanalny.

Jakież było jego zdumienie, kiedy w parę sekund później ręka ukazała się znowu, ale tym razem bez pierścienia.

— Zdaje mi się, piękny panie — monologował w duchu Byrd — że sumienie twoje nie bardzo musi być czyste. Nie zdejmuje się pierścienia z palca w podobnych okolicznościach bez ważniejszej przyczyny. Ciekawy jestem, czy mój szanowny kolega zauważył tę drobnostkę?

Ale szanowny kolega drapał sobie z roztargnieniem policzek, patrząc zupełnie w odwrotną stronę. Równocześnie rozległ się w sali głos doktora Fradwell:

— Panowie przysięgli! — mówił — Słyszeliście zeznania miss Farman, najbliższej przyjaciółki zmarłej, pani Clemmens. Jestem zmuszony zwrócić wam uwagę, że należy ostrożnie jednak brać pod uwagę niepokoje, naturalne zresztą u kobiety postawionej w tak przykrej sytuacyi — i podać do wiadomości waszej drugi dokument, pisany również jej ręką, w którym zmarła...

Koroner nie dokończył, w tej chwili bowiem podszedł do niego woźny sądowy i oddał mu depeszę. Podczas gdy doktor Fradwell odczytywał ją, Byrd, pchnięty jakimś nagłym impulsem, skreślił szybko parę słów na ćwiartce papieru, wydartej z notatnika. Następnie poprosił jednego z obecnych, aby podał ją koronerowi. W kartce tej radził panu Fradwell zawezwać właściciela hotelu w celu zapytania go, kto mieszkał u niego w dniu zamordowania pani Clemmens.

Koroner przeczytał kartkę i uśmiech zadowolenia wystąpił na jego usta, gdy spojrzał na podpis. Pochylił się natychmiast do policyanta, znajdującego się obok niego i wydał mu zapewne potrzebne rozporządzenie, bo Byrd ujrzał, że policyant skierował się ku drzwiom, a doktor Fradwell podjął rozpoczętą przemowę.

— Znalazłem ten papier, z którego treścią pragnę panów zapoznać, w szufladzie biurka pani Clemmens, pod stosem różnych kwitów. Panie Black! — zwrócił się do prezydenta sądu — Czy zechce pan przeczytać głośno tę kartkę?

Pan Black z miną poważną i skupioną wykonał bezzwłocznie to zlecenie.

„Pragnę — pisała pani Clemens — w razie gdybym umarła śmiercią gwałtowną i nagłą — aby władze sprawiedliwości zbadały możliwą winę pana Gordona Hildreth z Chicago. Jest to człowiek zupełnie wyzuty z wszelkich zasad i mam głębokie przekonanie, że jeżeli przeznaczeniem mojem jest umrzeć w ten sposób — to stanie się to z jego przyczyny, bo Hildreth będzie pragnął wejść spiesznie w posiadanie majątku, z którego korzystać może dopiero po mojej śmierci.

Marya Anna Clemmens“.

— Poważne oskarżenie! — zauważył sędzia, oddając papier koronerowi, podczas kiedy na sali wzrósł szmer stłumiony.

— Oskarżenie nie poparte jeszcze żadnym dowodem! — odpowiedział doktor Fradwell — Zdaje mi się jednakże, że jest rzeczą ustaloną, iż pan Gordon Hildreth nie znajduje się obecnie w Chicago, sądząc z telegramu, który panom zaraz odczytam:

„G. H. nieobecny w Chicago. Wyjechał do Nowego Jorku we środę 22-go. Ma poważne przeszkody w otrzymaniu naglącej sumy. List wysłany“.

— Depesza ta nadeszła w nocy, panowie. Przed chwilą otrzymałem drugą następującej treści:

„Ostatnie wiadomości. G. H. wspominał o samobójstwie w klubie w przeddzień wyjazdu. Miał wygląd człowieka zrozpaczonego. Zakłady na wyścigach i spekulacye nieostrożne. Znajduje się w sąsiedztwie“.

W czasie odczytywania tej depeszy wszedł na salę właściciel hotelu, gdzie mieszkał Byrd; towarzyszył mu policyant wysłany po niego.

— Świadek tu obecny — rzekł koroner — jest właścicielem hotelu „pod Złotym Lwem“. Zechciej pan się zbliżyć, panie Seymond. Czy przyniósł pan ze sobą księgę meldunkową?

— Tak jest, panie koronerze! — odpowiedział nowoprzybyły, widocznie zmieszany.

— Proszę ją oddać panom przysięgłym i powiedzieć nam tymczasem, czy nie zatrzymał się w tych dniach u pana jaki podróżny z Chicago?

— Nie wiem, proszę pana. Mamy pełno gości w tych czasach w hotelu i trudno mi wobec tego przypomnieć sobie.

— Kto to jest ten Karol Smith, który wpisał się jako przybywający z Chicago? — zapytał sędzia, przeglądający książkę meldunkową.

Pan Seymond zbliżył się i spojrzał poprzez ramię czytającego.

— Smith? Smith? Ach! Tak... to ten pan, który przybył wczoraj... Musi być jeszcze w hotelu.

Drobne wydarzenie, zaszłe przy drzwiach, wiodących na korytarz, przerwało na chwilę badanie. Człowiek o szerokich ramionach, w którym Byrd przeczuł kolegę, wyciągnął z kieszeni chustkę i wypuścił ją z ręki. Chustka upadła tuż obok kapelusza, należącego do nieznajomego o herbowym pierścieniu. Pospieszając ją podnieść, tamten niezręcznym ruchem — tak się przynajmniej wydawało patrzącym, ubawionym tem wydarzeniem — potknął się o kapelusz, który potoczył się o parę kroków dalej. Tym sposobem chustka człowieka o szerokich ramionach znalazła się tuż obok chustki złożonej w kapeluszu.

Pan Byrd łatwo pojął cel tej gry i nie zdziwił się wcale, kiedy kolega jego oglądał bacznie obydwie chustki, nie mogąc rozpoznać swojej i po chwili, jedną z nich włożył w kapelusz nieznajomego.

Koroner po krótkiej przerwie pytał dalej:

— Dlaczego pan, panie Seymond, jest tak zakłopotany, mówiąc o podróżnym, przybyłym wczoraj?

— Dlatego... proszę pana... że... bo to on już drugi raz staje w moim hotelu, a meldowany był raz tylko...

— Kiedyż to był pierwszym razem?

— We wtorek przeszły — oświadczył hotelarz, widząc, że nic się już ukryć nie da.

— W dzień zbrodni?

— Tak, panie koronerze!

— Czy zechce mi więc pan wyjaśnić, dla jakiej przyczyny dnia tego nazwisko jego nie zostało do książki meldunkowej wciągnięte?

— Dla tej przyczyny, że w tym dniu nie wziął pokoju. Przyszedł tylko do baru na przekąskę.

— Ale go pan widział? Mówił pan z nim?

— Prosił mnie o adres, który mu dałem.

— Jaki adres?

— Pani Clemmens, panie koronerze.

Nareszcie więc sprawa zaczynała się rozjaśniać. Widoczna ulga odbiła się na wszystkich twarzach.

— Ten pan Smith zapytywał więc pana o adres pani Clemmens? O której godzinie to było?

— O wpół do dwunastej rano, proszę pana.

— Fatalna godzina! A potem opuścił pana?

— Tak, panie. Widziałem go dopiero wczoraj wieczorem. Był w barze i zapytałem go, czy zajął pokój. Odpowiedział mi twierdząco i poszliśmy razem na górę.

— Mówił mu pan o morderstwie?

— Pozwoliłem sobie na lekką aluzyę, bo ciekawy byłem, co miał do roboty u pani Clemmens, ale udał, że mnie nie rozumie, a ja nie śmiałem nalegać więcej.

— Jakiż to rodzaj człowieka ten pan Smith?

— Bardzo przyzwoity człowiek, proszę pana. Nigdy nie byłaby mi przyszła myśl mieć jakieś podejrzenia względem niego.

Doktor Fradwell obrzucił świadka surowem spojrzeniem.

— Któż panu mówi o podejrzeniach? — rzekł sucho — Zdaje mi się, że pan mówił, iż pan Smith przebywa jeszcze w hotelu?

— Był tam jeszcze przynajmniej w godzinie śniadania.

— Trzeba będzie przesłuchać tego pana! — rzekł koroner — Brygadyerze Tomkins, proszę pójść zobaczyć, czy pan Smith znajduje się jeszcze w hotelu.

— Może to będzie zbyteczne, proszę pana — rozległ się nagle głos detektywa z Nowego Jorku, kładącego rękę na ramieniu nieznajomego, który tak intrygował Byrda. Mamy tutaj świadka, który może okaże się cenniejszy.

Na te słowa nieznajomy ów człowiek, zauważony przez Byrda w barze, postąpił krok naprzód.

— Co pan chce powiedzieć? Co to ma znaczyć? — zapytał głosem trzęsącym się od gniewu.

Zamiast odpowiedzi detektyw rzucił na koronera porozumiewawcze spojrzenie. Doktor Fradwell zapytał więc natychmiast hotelarza:

— Czy pan zna tego pana?

— To pan Karol Smith.

Byrd ze swojego miejsca zobaczył dokładnie rumieniec, obejmujący twarz i szyję nowoprzybyłego.

— Zdaje mi się, że zachodzi tu mała pomyłka, panie koronerze! — podjął detektyw — Nazwisko tego pana jest Gordon Hildreth!

Twarz pana Smitha stała się momentalnie blada jak płótno.

— A dla jakiej to przyczyny nazywa mnie pan Gordonem Hildreth? — zapytał, patrząc z góry na detektywa — Nie mam nawet przyjemności znać pana!

— To możliwe — odparł tamten z obojętnością — ale udało mi się ujrzeć monogram pana na chustce od nosa, którą mam w swojem posiadaniu.

Mówiąc to, wyciągnął chustkę z kieszeni i podał ją koronerowi.

— Dobrze! — rzucił Smith pogardliwie.

Poczem podniósł nagle głowę wyniosłym ruchem i podchodząc do biura koronera, wyrzekł donośnym głosem:

— Jestem rzeczywiście Gordon Hildreth. Co panowie sobie odemnie życzą?

Gordon Hildreth.

Szmer głuchy przeszedł po sali. Doktor Fradwell z trudnością mógł zabrać głos, gdyż przerywano mu ciągle. Sam zresztą zdziwiony był nieprzewidzianym obrotem rzeczy.

Odpowiedzi dane przez świadka na pierwsze za pytania koronera, potwierdziły w zupełności wyjaśnienia dane przez miss Emilię Farman. Następnie, kiedy zapytano go, dla jakich powodów przybył do S dney, oświadczył, że jedynym celem jego było widzenie się z panią Clemmens. Przyciśnięty przez pana Fradwell przyznał, że chciał sobie zdać sprawę, czy zmarła rzeczywiście była jeszcze tak silna i pełna energii, jak twierdzono. Zeznał dalej, że znajdował się w tak przykrej sytuacyi finansowej, iż pomyślał o pewnych okolicznościach, których nie śmiałby wywoływać w czasie zwykłym.

— Czy widział się pan z panią Clemmens? — pytał dalej koroner.

— Tak, panie!

— Kiedyż to było?

— We wtorek ostatni — około południa.

Swiadek rzucił tę odpowiedź tonem brawury i wściekłości. Smiertelna cisza przebiegła salę.

— Przyznaje więc pan, że znajdowałeś się w domu ofiary na kilka chwil przed jej śmiercią?

— Tak jest!

Koroner pochylił się ku niemu i rzekł poważnym, skupionym głosem:

— Ażeby dojść do Białego Domku, zapewne udał się pan ścieżką pomiędzy domami? Nie spotkał pan nikogo?

— Nie, proszę pana!

— Jak długo zabawił pan u pani Clemmens i jaki był przebieg tych odwiedzin?

— Mówiłem z nią może dziesięć minut. W rezultacie przekonałem się, że pani Clemmens cieszyła się doskonałem zdrowiem i że była zdolną przeżyć mnie jeszcze i rodzinę moją — odparł świadek ponuro, prawie nienawistnie.

Publiczność przyjęła ten cynizm oznakami niezadowolenia.

— Czy pani Clemmens wiedziała, kto pan jesteś? W jakim nastroju rozeszliście się wkońcu?

Policzki Gordona Hildreth płonęły coraz gorętszym rumieńcem. Wzrok jego zdawał się wyzywać koronera i sędziów przysięgłych. — Jednakże Byrd, który go bacznie obserwował, doznał wrażenia, że ma przed sobą człowieka, wstydzącego się przyznać do czynu haniebnego — a nie mordercę doprowadzonego do ostateczności.

— Pani Clemmens była widocznie kobietą żywego usposobienia — odparł po chwili Hildreth, z przymusem w głosie. — Kilka razy unosiła się nawet wobec mnie. Przedstawiłem się jej jako ajent składu aptecznego, na co otrzymałem odpowiedź że nie wie, co to choroba, że nienawidzi wszelkich lekarstw, a aptekarze u niej nigdy nic nie zarobią. Następnie pokazała mi drzwi bez żadnej ceremonii. Nie przypominam sobie, aby coś innego między nami zaszło.

Cała ta odpowiedź wypowiedziana była tonem dosyć stanowczym, ale po ułożeniu warg mówiącego, baczny obserwator, jakim był Byrd, musiał dostrzedz, że Hildreth obawia się dalszego pytania, oczekiwanego z równem wzruszeniem przez całe audytoryum.

Ale koroner widocznie nie chciał jeszcze, aby badanie zaszło na decydujące tory, gdyż podjął zwyczajnym, spokojnym głosem:

— Utrzymuje pan, że nie widział nikogo, wchodząc do Białego Domku? Czy tak samo było, kiedy pan powracał?

— Tak, proszę pana. Tak mi się przynajmniej zdaje... nie przypominam sobie dokładnie... szedłem ze spuszczonym wzrokiem... — odpowiedział Hildreth z pewnem zmieszaniem.

— Wychodząc na główną drogę, w którą stronę się pan zwrócił?

— Ku dworcowi.

— Ach!

— Chciałem opuścić miasto jak najprędzej.

— Gdzie pan chciał się udać?

— Do Nowego Jorku, gdzie pozostawiłem bagaże...

— A więc pan pojechał pospiesznym pociągiem o godzinie dwunastej minut pięć?

— Tak, proszę pana.

— Nie zatrzymywał się pan po drodze?

— Nie — udałem się prosto na dworzec.

— Kupił pan bilet?

— Nie, proszę pana, miałem bilet powrotny.

— Czy pociąg stał już na dworcu, kiedy pan nadszedł?

Hildreth nie odpowiedział. Był widocznie strapiony tym nawałem pytań następujących po sobie tak szybko.

Koroner nalegał dalej:

— No, panie Hildreth, tak, czy nie, czy pociąg stał już na dworcu, kiedy pan przybył?

— Nie rozumiem, jaką to mieć może ważność w danej chwili — odparł świadek zniecierpliwionym tonem — ale wobec nalegania pana powiem, że pociąg był już w ruchu i jeżeli nie umknął mi z przed nosa to dzięki gimnastyce dosyć niebezpiecznej.

Doktor Fradwell, nie zwracając uwagi na impertynencyę, zadowolił się tą odpowiedzią i przeszedł zaraz do innej kwestyi.

— Panie Hildreth! — rzekł — Zrozumie pan ważność, jaka przywiązana jest do pańskiego zeznania, jeżeli pan pomyśli, że jesteś jedyną osobą, która weszła do mieszkania zamordowanej w chwili popełnienia zbrodni. Zechciej więc pan zebrać swoje wspomnienia, zanim mi pan odpowie na pytanie, które teraz zadam panu! Czy, według zdania pana, pani Clemmens znajdowała się sama w czasie pana wizyty, czy też sądzi pan może, że jeszcze kto inny znajdował się w Białym Domku?

— Nie przeczę, aby tam nie mógł znajdować się ktoś inny, ale ani nie słyszałem, ani nie widziałem nikogo. Zdawało mi się, że byliśmy sami.

Szczerość tej odpowiedzi wywarła dodatnie wrażenie na publiczności, ale nagły rumieniec świadka, kiedy zdawał sobie sprawę, jak bardzo komprumitujące dla niego były te słowa, wytworzył natychmiast inną opinię. Widząc tę zmianę Hildreth przybrał znowu postawę dumną i nieprzystępną.

— Proszę panów przysięgłych do zwrócenia gorliwej uwagi na dalszy przebieg sprawy — wyrzekł poważnie koroner.

— Mówił nam pan przed chwilą, że pani Clemmens uniosła się kilkakrotnie w czasie rozmowy z panem. Czy podniosła głos z tej przyczyny?

— Zdaje mi się, że tak.

— Czy przyjmowała pana w salonie?

— Tak.

— Proszę mi powiedzieć, jak siedzieliście?

— Siedliśmy, proszę pana.

— Czy ten czas?

— Tak jest. Pani Clemmens nie poprosiła mnie usiąść.

— Czy przypomina pan sobie swoją postawę?

— Co pan przez to chce powiedzieć?

— Wyjaśniam. Stojąc naprzeciwko siebie, które z was było zwrócone tyłem do okna?

— Zapewne pani Clemmens — odparł świadek, po lekkiem wahaniu.

— Wobec tego miał pan przed sobą widok na ogród.

— Tak, panie.

— Jeżeli tak było, to jestem zmuszony zapytać pana, czy podczas tej rozmowy z panią Clemmens nie widział pan kogoś przechodzącego przez ogród?

Swiadek silnie brwi zmarszczył, jak gdyby usiłował sobie coś przypomnieć.

— Proszę mi odpowiedzieć — nalegał koroner — Nie jest to punkt, nad którym potrzeba się dłużej zastanawiać.

— A więc nie, proszę pana — odrzekł Hildreth, patrząc koronerowi prosto w oczy.

Doktor Fradwell wziął ćwiartkę papieru, na której skreślił kilka cyfr, podczas kiedy Hildreth śledził jego ruchy uważnem spojrzeniem.

— Jednakże — podjął po chwili koroner — podczas kiedy pan był w Białym Domku, włóczęga jakiś przeszedł dwukrotnie przez ogród. Jakże się to stało, że pan go nie widział, skoro się pan znajdował przed oknem, zwróciony twarzą na ogród.

— Obliczenia pana są więc ustalone z matematyczną dokładnością, panie koronerze! — zawołał młody człowiek z wybuchem — Jakże pan wiedzieć może, czy świadkowie pana nie pomylili się? Jedna minuta więcej lub mniej wystarczyłaby do obalenia tej kombinacyi!

— Wiem o tem dobrze — odpowiedział doktor Fradwell ze spokojem — ale przesłuchiwaliśmy najmniej czterech świadków, którzy zeznali, że dwunasta godzina biła na ratuszowym zegarze, kiedy włóczęga wychodził z ulicy. Przytem pewna pani, znana dobrze z dokładności w szczegółach, przysięgła zeznać, że wychylając się oknem, aby dojrzeć godzinę na tymże samym zegarze, widziała włóczęgę wchodzącego do ogrodu wdowy Clemmens. Była wówczas punktualnie godzina dwunasta i minut pięć. Ażeby pana przekonać, że obliczenie moje nie jest mylne, postawię panu inaczej to pytanie, panie Hildreth. — O której godzinie opuścił pan hotel?

— Jakże pan chce, żebym to pamiętał? — brzmiała niecierpliwa odpowiedź świadka.

— A więc ja to panu powiem. Mogła być dwunasta bez dwudziestu minut, bo w tej chwili dzieci pani Draglaz poszły bawić się w uliczkę, a skoro pan utrzymuje, że nie widział tam nikogo — jasnem jest, że musiał pan przejść tamtędy przed ich przybyciem.

— Czegóż to dowodzi? — zawołał gniewnie Hildreth.

— Jeżeli pan był już w południe u pani Clemmens — ciągnął dalej niewzruszony koroner — to jest dziesięć minut po wpół do dwunastej, a wyszedł pan o dwunastej bez dwóch minut — to dowodzi że przebył pan w Białym Domku ośmnaście minut. Pan zaś utrzymuje, że rozmowa z panią Clemmens nie trwała więcej, jak pięć minut. — A więc, gdzie pan był i co pan robił przez ten czas?

Słowa te były, aż nadto jasne. Młody człowiek spuścił głowę, zbladł silnie, zagłuszając w sobie wykrzyknik gniewu.

— Nie odpowiada pan, panie Hildreth? — zauważył koroner po chwili.

— Nie! — odparł młody człowiek — Nie jest przyjemną rzeczą dać się pochwycić na jawnem kłamstwie. Jednakże teraz muszę wypowiedzieć prawdę. Kłamałem mówiąc, że wyszedłem z domu pani Clemmens natychmiast po mojej z nią rozmowie. Pozostałem jakiś czas w hallu. Z pewnie w tym to czasie przeszedł ten włóczęga.

— Co pan robił w hallu?

Hildreth spuścił oczy i odpowiedział spokojnym głosem:

— Namyślałem się.

Z ledwie te słowa padły z jego ust, kiedy świadek spostrzegł, że sędziowie zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia. Zwrócił się więc prosto do nich, mówiąc donośnym głosem:

— Wydaje się to panom dziwne, że ktoś namyśla się po ukończeniu rozmowy, w której pokładał wszystkie swoje nadzieje. Ja rozumiem się dziwię, ale dla innej przyczyny. Z pewnością się, jak mogłem nie pomyśleć wówczas o zakończeniu raz na zawsze niepokojów i trosk moich!

Hildreth nie mógł jaśniej wykazać swego charakteru gwałtownego i rozpaczliwych myśli, jakie go dręczyły. Z pewnie spostrzegł się że słowa jego kompromitowały go coraz więcej, ale już zapóźno było cofać się.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z tygodnia.

Przysięga Legionów.

Jak donoszą z Warszawy, sprawa przysięgi przyszłego wojska polskiego nie została dotychczas załatwioną z powodu pewnych różnic w proponowanych formułach. Ze strony niemieckiej ułożono następującą rotę:

„Przysięgam Bogu Wszechmocnemu i Wszechwiedzącemu, że chcę służyć, jako wierny żołnierz, mojej polskiej Ojczyźnie na lądzie i wodzie i każdem miejscu, wiernie i uczciwie, że dotrzymać chcę rzetelnego braterstwa broni wojskom niemieckim, austro-węgierskim i sprzymierzonym z niemi i że chcę być posłuszny cesarzowi niemieckiemu, jako memu najwyższemu wodzowi w obecnej wojnie, jemu i cesarzowi Austryi, królowi Węgier — jako też wszystkim innym przełożonym, ich rozkazy i przepisy spełniać dokładnie i zawsze — i wszędzie tak się zachowywać, iżbym, jako żołnierz rzetelny i bez odmowy spełniający obowiązek, mógł żyć i umierać!“

Natomiast Komisya Rady Stanu przedstawiła taką propozycyę:

„Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i Wszechwiedzącemu służyć Polsce. Ojczyźnie mojej i przyszłemu królowi polskiemu (polskiemu rządowi), jako żołnierz, wiernie i uczciwie, na lądzie i wodzie i na każdem miejscu i o każdej porze — dochować rzetelnie braterstwa broni wojskom niemieckim, austro-węgierskim i sprzymierzonym z niemi, być posłusznym naczelnemu dowództwu, wyznaczonemu na czas obecnej wojny przez monarchów, poręczających niepodległość państwa polskiego, oraz wszystkim moim przełożonym, rozkazy ich i przepisy spełniać dokładnie i zawsze i wszędzie tak się zachowywać, iżbym, jako żołnierz rzetelny i bez odmowy spełniający obowiązek, mógł żyć i umierać“.

Obie formuły zostały przesłane do głównej kwatery niemieckiej dla zaopiniowania. Z tego powodu i dla innych formalnych względów termin ogłoszenia urzędowego werbunku do armii polskiej został przesunięty do połowy marca.

Sprawa polska w parlamencie niemieckim.

Podczas dyskusyi budżetowej w parlamencie niemieckim, na jednem z ostatnich posiedzeń zabrał głos poseł Seyda, który, między innemi, oświadczył:

„Co się tyczy Polaków, to są oni w państwie mniejszością, pozostającą w ciągłej walce o swoje dobra narodowe. Dla Polaków niema żadnego pokoju domowego w znaczeniu zwykłem. Mimo tego w czasie wojennym trzymaliśmy się rezerwy w naszej metodzie obrony narodowej i od dwóch lat z walki zrezygnowaliśmy, bez przerwy jednak domagaliśmy się ostatecznego przyznania narodowego równouprawnienia. Niestety, te nasze usiłowania w tym kierunku nie osiągnęły żadnego rezultatu. Pocieszano nas nową oryentacyą na czas po wojnie. Tymczasem — mówiono — praktyka administracyjna będzie łagodną. Zachowanie się miarodajnych czynników wywołało wśród narodu polskiego wielkie rozgoryczenie. Praktyka łagodna bezwarunkowo nie ujawniła się na całej linii. Tymczasem wydano manifest z 5. listopada. Nie uważano za rzecz potrzebną informować nas o biegu spraw i połączenie z Warszawą jest dla nas ciągle jeszcze nader utrudnione.

To przecież nie mogło ulegać żadnej wątpliwości, że, jeżeli rząd państwa uważa zbliżenie między narodem niemieckim a polskim za jedno z głównych zadań, to pierwszem następstwem takiego zapatrywania powinno być zniesienie wszystkich antipolskich ustaw w Prusiech. Stało się jednak inaczej. Przyszedł wniosek Heydebranda, domagający się utrzymania w mocy dawnego kursu, a minister spraw wewnętrznych, p. Loebell, poczynił tylko ogólnikowe obietnice, przychylił się zaś do wniosku. — Także i potem nie stało się nic po naszej myśli, a i rząd państwowy, zdaje się, nie żywi żadnego podobnego zamiaru. Znienawidzony paragraf językowy ciągle jeszcze jest ustawą obowiązującą. — Dwukrotne uchwały parlamentu w sprawie zniesienia paragrafu językowego nie znalazły jeszcze aprobaty ze strony Rady Związkowej. Musimy więc jak najbardziej stanowczo wezwać rząd, by raz się ocknął i wywarł swój wpływ na Prusy co do zasadniczej zmiany systemu.

Także kościół katolicki w polskich okolicach podlega ciągle jeszcze daleko idącym ograniczeniom. Nauka religii w języku niemieckim w szkołach ludowych jest nieznośnym przymusem sumienia. Zakony katolickie, poświęcające się opiece nad dziećmi i opiece nad chorymi, jak poprzednio, tak i nadal u nas podlegają jak najgorszym ograniczeniom. — Dawny system bowiem wszędzie pozostał w mocy.

Nie po wojnie dopiero, lecz natychmiast należy te stosunki usunąć. Wymaga tego interes publiczny“.

Ofiarność Wielkopolski.

Rada główna opiekuńcza w Warszawie wystosowała do arcybiskupa poznańskiego, ks. Dalbora, pismo dziękczynne, w którem między innemi czytamy:

„Olbrzymie stosunkowo sumy, napływające z Wielkopolski, Prus i Śląska, nie tylko pozwoliły przetrwać najcięższe chwile, lecz jednocześnie pobudziły do podjęcia w Królestwie Polskiem akcyi samopomocy“.

Z tego powodu pisze „Dziennik Berliński“:

„Ile wynosiły te olbrzymie sumy, jakie przez rok ubiegły popłynęły na rzecz Królestwa Polskiego z tego zaboru, w szczęśliwych warunkach gospodarczych żyjącego, trudno określić z kupiecką ścisłością. To pewne, że są one istotnie olbrzymie. Posiadamy też cyfry dokładne funduszów, które w roku 1916 poznański Komitet niesienia pomocy w Królestwie Polskiem, dzięki wspaniałej ofiarności naszego społeczeństwa, złożył na ten cel w ręce Rady opiekuńczej. Skarbnik Rady, p. Olszewski, podniosł, że największą część ogólnej sumy, którą rozporządziła Rada główna opiekuńcza, wniosł komitet poznański, dając wprost tejże Radzie 1.761.000 rubli. Nadto bezpośrednio ofiarowano Radom prowincyonalnym w pierwszym okresie działalności 240 000 rubli, oraz na rzecz Litwy 97 000 rubli. A zatem ogółem Komitet poznański. czyli Polacy z zaboru pruskiego złożyli na ten piękny cel w roku ubiegłym nie mniej, niż z górą dwa miliony rubli. A że budżet Rady głównej opiekuńczej wynosił 4 034 000 rubli, więc nasze dzielnice mogą z zadowoleniem sobie powiedzieć, że pokryły więcej, niż połowę wydatków Rady opiekuńczej w tym przeciągu czasu“.

Wilson wobec zaostrzonej walki łodziami podwodnemi.

Sprawa konfliktu amerykańsko-niemieckiego w chwili, gdy to piszemy, nie została jeszcze rozstrzygniętą. Stany Zjednoczone, choć nie wypowiedziały jeszcze wojny Niemcom, zbroją się jednak pospiesznie, a prezydent Wilson zażądał od kongresu specyalnych pełnomocnictw wojennych. Uczynił to w orędziu, w którem zaznaczył swe stanowisko wobec walki łodziami podwodnemi. Orędzie Wilsona do kongresu opiewa:

„Żyjemy w czasie krytycznym. Jest moim obowiązkiem utrzymać ścisły kontakt z obu izbami kongresu. Zapowiedziana w dniu 1-go lutego taktyka nieprzyjacielska, stosowana jest już od czterech tygodni. Nie można jeszcze ocenić w całości jej praktycznych następstw. Handel innych krajów neutralnych ponosi poważne szkody, chociaż nie większe, niż przed dniem 1 go lutego. Wezwałem resztę narodów neutralnych, aby z nami współdziałały, aby położyć kres temu zniszczeniu. Obawiam się jednakże, że żaden z nich nie uważa wspólnej akcyi z nami za wskazaną. — Nasz własny handel cierpi również więcej wskutek wyczekiwania, niż wskutek właściwych wydarzeń. Ponosi on większe szkody wskutek faktu, że tyle z naszych okrętów trwożliwie pozostaje w portach Ameryki, niż wskutek tego, że tyle okrętów jest zatapianych“. — O wstrzymaniu ruchu okrętów w portach amerykańskich wskutek tego, iż właściciele okrętów nie są skłonni rzucać swoich okrętów na igraszkę losu bez zabezpieczenia i bez dostatecznej osłony i o wywołaniem przez to zamącenia handlu amerykańskiego wyraża się Wilson, że „już to samo może być następstwem, które zamierzono uzyskać przez nowy sposób wojowania łodziami podwodnemi, o ile ono oddziaływa na Amerykę. Dlatego możemy tylko powiedzieć, że jawny czyn, którego, jak się spodziewam, unikać będą komendanci niemieckich łodzi, jeszcze nie nastąpił. Ale, chociaż na szczęście tak się ma sprawa, to przecież znane alluzye i oświadczenia niektórych dzienników i władz niemieckich wzmacniają raczej, niż osłabiają wrażenie, że jeżeli Niemcy oszczędzają nasze okręty i naszych obywateli, to należy przypisać raczej szczęśliwemu przypadkowi i faktowi, że komendanci łodzi, z któremi nasze okręty się spotykają, wbrew oczekiwaniu okazują takt i panują nad sobą więcej, niż to czyni instrukcya, udzielona tym komendantom. Byłoby nierozsądnem przeczyć, że w sytuacyi tej tkwi poważna możliwość i niebezpieczeństwo i byłoby wielką nieostrożnością nie być na nie przygotowanym.

Czuję wobec tego obowiązek wezwać panów, żebyście natychmiast zapewnili wszelką władzę, której lada chwila mogę potrzebować. Musimy wśród tych ciężkich okoliczności z rozwagą i stanowczością bronić naszego handlu i życia naszych obywateli. Spodziewamy się z całego serca, że nie będzie koniecznem wydawać sile zbrojnej rozkazu, żeby zaczęła działać. Naród amerykański tego nie pragnie. Żadna z dróg, przezemnie obranych, nie będzie prowadziła do wojny. Wojnę może wywołać tylko samowolny czyn zaczepny. — Proszę panów, abyście mnie upoważnili do uzbrojenia naszych okrętów handlowych, gdyby tego zaszła potrzeba w bron dla samoobrony i we wszystkie inne środki obrony na morzu naszych okrętów i naszych obywateli, wśród ich pokojowej pracy zawodowej. Nie mamy na względzie tylko materyalnych interesów, lecz bardziej jeszcze fundamentalne prawa ludzkie, wzniosłe zasady współczucia i ochrony, które każą ludzkości czuwać nad życiem ludzi, pracujących w sposób pokojowy nad utrzymaniem przemysłu światowego, czuwać nad życiem kobiet i dzieci. — Nie można pojąć, żeby którykolwiek człowiek o zasadach amerykańskich mógł zawahać się przed obroną tych rzeczy“.

Młodzież ku czci trójcy wieszczów polskich.

(Do illustracyi na str. 4).

Dnia 8. lutego b. r. uczenice prywatnego realnego gimnazyum żeńskiego im. Juliusza Słowackiego w Jarosławiu urządziły w sali „Sokoła“ uroczysty wieczór ku czci trójcy wieszczów polskich. Słowo wstępne wygłosiła p. Marya Orłowicówna, uczenica VIII klasy, która w pięknem przemówieniu złożyła hołd duchom trójcy poetów naszych: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, poczem nastąpiły produkcye muzykalno wokalne.

Na uznanie zasługuje septet smyczkowy z akompaniamentem fortepianu i harmonium pod batutą prof. Juliusza Adamskiego, który własną kompozycyą p. t. „Polonez Trzech Wieszczów“ okazał wybitny talent kompozytorski. Również produkcye chórów, kierowanych ręką prof. Adamskiego, wypadły bez zarzutu. Dalsze punkty programu wypełniła solowa gra na skrzypcach p. Emmy Leichtfriedówny, uczenicy VI. klasy (Wagnera „Tannhäuser“ i Kubelika „Serenada“), oraz deklamacya „Psalmu dobrej woli“ Z. Krasińskiego i „Koncertu Jankiela“ Mickiewicza, którą przyjęto burzą oklasków.

Na zakończenie wieczoru odegrano z „Balladyny“ J. Słowackiego z I. aktu: scenę drugą i trzecią, z II. aktu: scenę pierwszą. Gra artystów amatorów przeszła wszelkie oczekiwania. W rolach obsadzonych wybornie, odpowiednio do indywidualnego charakteru, wystąpili: pp. Tyrnauówna (Goplana) H. Steuerówna (Balladyna), I. Mossorówna (Alina), Morawska (Chochlik), Schneeweissówna (Skierka) Pretoriusówna (matka wdowa), Rawski (Grabiec) i Strojnowski (Kirkor).

Całość przedstawienia, którem kierował profesor Tadeusz Kaniowski, wypadła pod każdym względem doskonale, pozostawiając podniosłe wrażenie wśród wszystkich uczestników.

Kronika tygodniowa.

Zakończenie poprzedniej kroniki miałem poświęcić różnym, bardzo ważnym sprawom, niestety, brak miejsca stanął znów na przeszkodzie. Dojechałem zaledwie nowym tramwajem na Podgórze i trzeba było wracać, ani głodu nie zaspokoiwszy, ni spieczonego języka nie zwilżywszy kroplą jakowegoś życiodajnego trunku. Ale trudno, ciężkie czasy.

Z kolei rzeczy postanowiłem uronić kilka gorzkich łez nad garbatym losem, który cywilom każe chodzić bez butów, cały bowiem zapas skór przeznacza się dla wojska, reszcie pozwalając używać jedynie surogatów. Cieszyliśmy się jednak, gdyż równocześnie ogłoszono, że ceny obuwia zostaną uregulowane, a my w ten sposób ochronieni będziemy przed szewskim wyzyskiem. Miał nawet powstać specyalny trybunał rozjemczy, przed którego forum można się udać z żażaleniem, gdyby ten lub ów z panów majstrów chciał z klienta żywcem obciągnąć skórę. W skład trybunału owego wchodzą naturalnie mistrzowie sławetnego kunsztu, ogromnie już dziś się cieszący, iż odtąd zwykły śmiertelnik będzie ich musiał tytułować „panem sędzią", jeśli nie „radcą". W porównaniu z tym szewskim trybunałem — trybunał rozjemczy w Hadze miał być tylko czemś drugo lub nawet trzeciorzędnem. Z tego powodu cena obuwia miała znowu podskoczyć, prawdopodobnie... z radości.

Pokazało się przecież, że ów szewski trybunał, choćby nawet zaczął istnieć, nie będzie brał w obronę klientów, tylko samych szewców, czytamy bowiem w *Krakowerce* z dnia 26. lutego, iż pewien jegomość, nie mający ochoty chodzić bez butów, a oburzony na szewca, który mu za robotę podyktował niesłychaną cenę, udał się z zażaleniem do starszego cechu, pewny, że ten mu wymierzy sprawiedliwość. Ale jakże się zawiódł!... Pan starszy wysłuchał, co prawda, najłaskawiej skarżącego, ale mu z góry oświadczył, że szewcy gwizdają na wszelakie trybunały rozjemcze, gdyż nikt im rozkazywać nie może! Komu się zresztą nie podoba, niech nie idzie do szewca... Ba, ale zapomniał dodać, dokąd się ma udać, gdy mu się podrą trzewiki?.. Może do blacharza?... Jego robota z pewnością byłaby trwalszą, no i tańszą, choć i blacharze mają wyższe aspiracye, zajmując się naprawą rynien lub dachów na różnych budynkach i wieżach.

Wobec wyżej przytoczonego faktu straciłem już wszelaką nadzieję, bym mógł przed końcem wojny znaleźć się w tem miłem położeniu, które nazywa się: całe buty. A kto temu winien?... Teraz widzimy, że sami szewcy. Ustaliło się już między ludźmi przeświadczenie, iż szewc chodzi zwykle w dziurawych butach, więc też panowie maistrowie powiedzieli sobie: „Możemy my, mogą i inni!"... i „hejże na Soplicę!"...

Gorzka więc nasza dola, a, co gorsze, odtąd będziemy musieli słodzić ją sob'e w sposób sztuczny, zapomocą sacharyny, gdyż cukru coraz mniej, a wnet wcale go nie będzie. Ale i pieprzu też brak, ktoby więc chciał porządnie sobie coś popieprzyć, musi się obejść bez niego, lub oglądnąć za jakimś surogatem. A z pewnością jakiś się znajdzie, gdyż pomysłowość ludzka jest pod tym względem niewyczerpaną. Uczeni chemicy chcą produkować cukier z wydzielin diabetyków, może też wpadnie ktoś na pomysł, w jaki sposób otrzymać coś, co mogłoby pieprz zastąpić... da'my na to jakiś surogat, wytworzony naprzykład z gorzkich wyrazów smienia!... W każdym razie byłby apetyczniejszy, niż ów wyżej wspomniany cukier, albo tłuszcz z pomyj, z gąsienic i inne, tym podobne wojenne smakołyki.

Choć, czy opłaci się to zajmować się takiemi drobnostkami, skoro dowiedzieliśmy się z gazet, zwłaszcza niemieckich, iż Galicya, to kraj mlekiem i miodem płynący, gdzie, co drugi przynajmniej obywatel umiera z przejedzenia, wszyscy bez wyjątku cierpią na zatłuszczenie różnych organów, jak nie tego, to owego, słowem, żyć tu, nie umierać. Gdyby to była prawda, byłbym dumny z tego, iż jestem płacącym podatki obywatelem tego bogatego i szczęśliwego kraju, niestety, zupełnie inaczej mówi przykra rzeczywistość. Pewnie, że mamy trochę różnych artykułów spożywczych, których taką moc produkuje nasz kraj rolniczy i mielibyśmy ich jeszcze więcej, gdyby ich od nas nie wywożono, ale n. p. Wiedeńczyk nie powinien nam tego zazdrościć, bo i przed wojną nie było inaczej. Trudno zaś wymagać, byśmy wszystko oddali, a sami ograniczyli się na hygienicznem odżywianiu świeżem powietrzem, które jest wprawdzie bardzo zdrowe, ale zupełnie nie pożywne. Opowieści o owych zapasach, jakie nagromadzone mają być w Galicyi, są tylko złośliwym wymysłem, a rozpuszczane są przez tych, którym Galicya była i jest solą w oku.

Nie przeczę, że i u nas znajduje się ten lub ów spekulant, który porobił zapasy, i powoli, w miarę podnoszenia się cen, puszcza je w obieg, ale takich samych jegomościów znajdzie się nierównie więcej na zachodzie. Czekolady, cukry, rozmaite konserwy i tym podobne przysmaki przychodzą do nas z magazynów wiedeńskich, a płacimy za nie na wagę złota, za zboże zaś lub ziemniaki otrzymujemy tylko ustanowione maksymalne ceny.

Jeśli ma się dać wyraz słuszności, to właśnie trzebaby powiedzieć, że w Galicyi niedobrze się dzieje, skoro brak mąki, ziemniaków i t. d., a kraj to przecież wybitnie rolniczy, który tych artykułów miał zawsze podostatkiem.

Część winy musimy przecież sami sobie przypisać. Narzekania, idące ku nam od zachodu, miały pewne uzasadnienie, dzięki temu, iż niektórzy jadłodawcy nie przestrzegali zbyt ściśle różnych postnych przepisów i gościom swym własnowolnie udzielali od nich dyspenzy. Widzieli to obcy i, rzecz prosta, powróciwszy do domu, opowiadali wszystkim wobec i każdemu z osobna, jak to Galicya wspaniale sobie żyje. Ponieważ zaś każdy człowiek jest trochę z urodzenia poetą i daje się często unieść rozhujałej fantazyi, nic też dziwnego, że ten i ów powiedział potem dwa lub trzy razy więcej, niż był powinien. A inni słuchali, łykali tylko ślinkę i oburzali się na Galicyę.

Wiedeńczykom nie podobało się także, iż różni przybysze z Galicyi przywożą ze sobą chleb, masło, ser, kiełbasę i inne, tym podobne specyały, o które u nich trudno. Ale Galicyanin, jadąc do nich, zaopatrywał się dlatego w niezbędne zapasy, iż wiedział, że tam ich nie dostanie, a nie chciał cierpieć głodu i objadać tych, którzy sami mają niewiele. I właśnie za to jego dobre serce spotkała go wdzięczność i nagroda, iż okrzyczano go sybarytą, pamiętającym tylko o sobie!

Tym, którzy zdaleka najbardziej narzekają, a sami tutaj jeszcze nie byli, radzę, niech przyjeżdżają, a przekonają się sami, że tak dobrze nam nie jest, jak im opowiadano. Mamy zaledwie tyle, iż z biedą wystarczy na zatkanie gęby i to w sposób niezupełnie dostateczny.

Ot, ja sam widzę to po sobie, że powoli, ale systematycznie tracę na żywej wadze, co musi niezbyt korzystnie odbić się na wszelkich funkcyach życiowych, zwłaszcza zaś przeraża mnie okoliczność, iż rozpoczął się marzec, w którym „ruch zmarłych" według sprawozdań Biura statystycznego jest zwykle największy, o czem zresztą wspomina i poezya ludowa, mówiąc: „Jeśli marzec przeżył starzec, będzie zdrów, a gdy baba w marcu słaba, pacierz zmów!"... Dobrze przynajmniej, iż mrozy się skończyły, a że w łeb wzięły, to moja w tem zasługa, trzymam się bowiem starej metody i, ilekroć mróz mi dokuczy, liczę dwunastu łysych. Zanim dojdę do tuzina, już po mrozie. Trzeba jednak uważać, by się nie pomylić i nie zamieszać między nich owłosionego, gdyż wówczas cała robota na nic. Posiadam zestawienie owych dwunastu i stale je uzupełniam, by nigdy nie brakło kompletu i mogę powiedzieć otwarcie, iż ta metoda dotąd mnie jeszcze nie zawiodła. Dla wiadomości tych, którzyby chcieli mej metody spróbować, dodam, że powinny to być osobniki wyłącznie rodzaju męskiego, gdyż tylko im można zaufać, iż łysiny ich są naturalne, bo i to ma wielki wpływ.

Właściwie przecież nie możemy powiedzieć, iż mrozy już nie wrócą, choć, co prawda, ze względu na brak węgli nie są zupełnie pożądane. Rok 1917. ma być rokiem niespodzianek. Zapowiadają nam trzęsienia ziemi i inne tego rodzaju niespodzianki, więc ciekawy jestem, dlaczego naprzykład nie moglibyśmy mieć mrozów i śniegów na Zielone Święta, byśmy mogli saniami wyjechać na Bielany. Owe plamy na słońcu, o których swojego czasu wspominałem, mogą z tem mieć także pewien związek, tak samo i owe spacery po niebie Jowisza, wzdychającego nocą do księżyca. Swojego czasu spotykał się nocną porą z Wenerą, widocznie teraz zakazano mu ze względu na obyczajność publiczną.

Nie krzyczmy więc „hop", póki się nie przeskoczy. Dopóki kalendarz nie powie mi, że mamy już lipiec i dopóki promienie słońca nie przekonają mnie, że już lato, nie zdejmę z grzbietu zimowego płaszcza i czekać będę mrozu... A nuż!...

Ale czy to dogodzi komu?... Wzdycham nibyto do ciepła, a jestem pewnym, że, gdy mi ono zbyt dokuczy, będę znów jęczał: „A bodaj się obwiesił ten, kto wymyślił gorąca!"... Chyba, gdyby się wojna tymczasem skończyła, nie mówiłbym nic, a zanosi się na to. Wielcy politycy tak mówią, a im trzeba wierzyć, bo jeżeli się mylą, to tylko bardzo rzadko. Otóż jeden z tych panów oświadczył, że pokój musi być zawarty przed jesienią, ale znów nie dodał, czy w tym roku Pańskim, czy dopiero w następnym.

Na decyzyę Ameryki czekamy ciągle, dowiadując się przy tem różnych szczegółów z życia Wilsona, nawet takich, o których on sam nie wie i nie wiedział nigdy pokazało się nawet, że jest wolnomularzem. Przedstawiciele koalicyi przygotowują się do nowej, ogólnej ofenzywy i radzą obecnie w Calais, przedtem w Petersburgu, ale do zgody w żaden sposób dojść nie mogą i nie mogą znaleźć tego, komuby przypisać winę, że nie wiedzie im się tak, jakby pragnęli.

Podczas petersburskich obrad ujawniły się ostre przeciwieństwa, głównie między angielskimi a rosyjskimi i włoskimi przedstawicielami, obecnie, podczas rokowań, przeprowadzonych w Calais, usunięte zostały podobno różnice, istniejące między Francyą a Anglią, obecnie więc rząd francuski będzie torował drogę porozumienia Petersburga i Rzymu z Anglią. Tu i tam muszą być przezwyciężone nie tylko rzeczowe zarzuty, skierowane przeciw niektórym propozycyom angielskim dotyczącym dalszego prowadzenia wojny, lecz także żywe niezadowolenie, wywołane przez dyktatorskie zachowanie się delegatów angielskich nad Newą.

Dopiero po wygładzeniu tych nierówności można będzie zabrać się energicznie do pracy, zwłaszcza, że tymczasem będą już może gotowe amerykańskie pancerniki lądowe, o wiele przewyższające angielskie „żółwie". Na razie projekt nie jest jeszcze zrealizowany, ale pomysłowi Amerykanie chyba nie spoczną, dopóki go w życie nie wprowadzą.

Jest to bardzo dowcipne połączenie wozu bojowego z czasów Aleksandra Wielkiego z nowoczesnym okrętem, więc olbrzymia machina, w kształcie kadłuba okrętowego, spoczywająca na trzech kołach, z których przednie jest sterowe. Jest ona silnie opancerzona i zaopatrzona w działa różnych kalibrów, karabiny maszynowe, ręczne granaty, minierki i inne, tym podobne, niewinne urządzenia utrzymania stałego pokoju. O wielkości jej daje pojęcie okoliczność, iż każde koło ma tylko sześćdziesiąt metrów średnicy. Przy tych rozmiarach nierówność tereuu, rowy i t. p. nie przedstawiają żadnej przeszkody w posuwaniu się naprzód. Nawet domy i lasy nie potrafią tego potwora w ruchu powstrzymać. Podspodem znajdują się ogromne grabie, które dopełniają dzieła zniszczenia. Maszyny poruszające umieszczone są we wnętrzu, nie wiadomo jednak, jaką siłę posiadają.

Pan Wilson, rozporządzając bodaj jednym takim powozikiem, może być pewnym zwycięstwa i zapewne z ostateczną decyzyą czeka na zrealizowanie tego fantastycznego projektu. Biada ci, wówczas, środkowa Europo! Przejedzie po tobie w swym pojeździe raz tam, drugi raz z powrotem i już więcej nie trzeba. Przy tej sposobności musi przecież uważać, by nie zniszczył przypadkiem Pałacu pokojowego w Hadze.

Do rzędu wynalazków, przeznaczonych na zapobieżenie przeludnieniu Europy, a mogących jeszcze w obecnie toczącej się wojnie znaleźć praktyczne zastosowanie, zaliczyć należy wynalazek norweskiego porucznika, pana Fritjofa Andersena. Podobno, tak twierdzi przynajmniej prasa neutralna, ma on w zakresie techniki wojennej zająć bardzo ważne miejsce. Polega zaś na tem, że można zapomocą elektryczności z bardzo odległego punktu kierować armatami, przyczem wszystkie działa, włączone w przewód elektryczny, może nastawiać jeden człowiek. To znaczy, że człowiek ten, znajdując się zdala od dział, gdzie więc nie jest narażonym na żadne niebezpieczeństwo, może stamtąd odpowiednio do swych obserwacyi nad nieprzyjacielem, regulować cały ogień działowy szybciej i pewniej, niż przy dzisiejszym systemie. Czynność żołnierzy, obsługujących działa, ogranicza się tylko na nabijaniu ich i strzelaniu, kierowanie ich paszczękami i robienie poprawek należy do obserwatora.

Zaczęto już próby, a równocześnie zagranica zainteresowała się podobno wynalazkiem i wdrożyła szereg rokowań w tej sprawie.

Ja zrobiłbym jedną tylko uwagę, zupełnie neutralną. *Nomen omen* a nazwisko Andersen, znane jest w literaturze, zwłaszcza bajkopisarskiej, kto więc wie, czy i ten wynalazek nie „dałby się w bajki włożyć". Wszak i pan Ulivi, jakiś genialny Włoch, chwalił się ogromnie głośno, że przy pomocy elektryczności i jakichś tam nowych promieni potrafi na ogromną odległość wywoływać eksplozye nawet min, głęboko ukrytych pod ziemią, a potem pokazało się, że to była blaga.

Bardziej niewinnym, ale również nieco fantastycznie wyglądającym jest wynalazek jakiegoś Amerykanina, zgłoszony już do opatentowania. Przy jego pomocy osiągnąć można w godzinie chyżość ośmiuset kilometrów, stanowczo więc większą, niż ta, z jaką posuwają się krakowskie tramwaje, zwłaszcza na liniach wązkotorowych. Jest to tak zwany „jednokołowiec motorowy z wirownicą". Część podstawową stanowi koło o średnicy ośmiu metrów, z motorem i siedzeniem dla kierownika poniżej osi. Według obliczeń teoretycznych, przebyć może ten nowy motomocykl w jednej sekundzie dwieście czterdzieści metrów, ale po drodze gładkiej, równej i prostej, w praktyce przecież okaże się dopiero, czy wynalazca zbyt się nie przechwalił.

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej literze, idąc pięć razy z góry na dół i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1) Daleka droga do Pana Boga.
2) Do czasu dzban wodę czerpie.
3) Dzieci i ryby nie mają głosu.
4) Dał Bóg kupca, to dyabeł faktora.
5) Dobry żart tynfa wart.
6) Do swej niebogi niema złej drogi.
7) Darowanemu koniowi nie zaglądaj w zęby.
8) Dobry chleb, gdy niema kołacza.
9) Długie życie, długa bieda.

Grzebieniówka.

Ułożył Z. Szymanek. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwę wiosennego kwiatka.

□	□	□	□	□	□	□	□	□	□	□
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—

Znaczenie wyrazów: 1. Rodzaj futra. 2. Inaczej pokuta. 3. Owoc. 4. Pierwotniak. 5. Zwierzę nieparzystokopytne. 6. Chrząszcz.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Szabla za lekka pęd i i leci. E!

Łamigłówka.

Ułożył W. Łucyna, Rożniatów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, podadzą rozwiązanie.

Ka ka
Kl-ma
Ka ka
Ko ma
Kr wa
Ko ar.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Znaleźć tytuły utworów wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego kompozytora:

Staff?
Lam?
Strzelecki?
Perzyński?
Hajota?
Dygasiński?
Wrzos?
Staff?
Korabicz?
Suszczyński?

Szarada.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Pierwsza wstecz grozi, *druga* pokazuje,
Co się tam dalej poza nią znajduje;
Względnie do tego, czego częścią bywa,
Nędzną, wspaniałą — różnie się nazywa.
Całość da długiej pracy rezultaty,
W obfity owoc plon jej jest bogaty.

Kwadrat magiczny.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko i imię wynalazcy prochu bezdymnego.

□	□	□	□	□	□	□	□	□	□
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2. Nazwisko malarza polskiego. 3. Dwa imiona męskie. 4. Wyobraźnia. 5. Wyspa w Afryce. 6. Miasto w Królestwie Polskiem. 7. Natchnienie. 8. Uszanowanie. 9. Samouk. 10. Nazwisko polskiego poety.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Co? O! Żyd osznt E. E. wziął arendę?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tyle jest szydeł, tapet i koni.

Bilety wizytowe.

Ułożył Czytelnik z Tyczyna.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ZEN. PUKALSKI.

LEON KICYS

Z. N. TYROWICZ.

T. REBELI.

KAZIA MYSLIGNAT.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 8.

Łamigłówka literacka: Krasiński.
Odyniec.
Naruszewicz.
Orzeszkowa.
Pol.
Niemcewicz
Iwaszkiewicz.
Czajkowski.
Kochanowski.
Asnyk.

Rozsypane litery:
1. Kto pije, długo żyje.
2. Pozory często mylą.

Liczbówka:

T	a	r	t	a	r	u	s
h	e	m	a	t	y	n	a
i	n	t	e	n	c	y	a
k	a	r	m	a	z	y	n
k	a	r	n	a	w	a	ł
K	a	n	t	y	J	a	n
S	o	k	r	a	t	e	s
M	o	n	a	s	t	e	r

Zadania do uzupełnienia:
1. Kieliszek wadzi, kieliszek radzi.
2. Jak cię widzą, tak cię piszą.
3. Jak dbasz, tak masz.

Szarada: Arystokrata.

Przysłowiówka: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Trójkąt magiczny:

L e w a n d o w s k i
E l e k t r o f o r
W i e s b a d e n
A l e o p a t a
N a t a l i a
D a k t y l
O s m a n
W o l a
S ó d
K u
I

Zadanie do przestawienia: Chroń mnie Panie od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi daję sobie radę.

Rozsypane litery: Kto zaraz daje, ten dwa razy daje.

Bilety wizytowe: Geometra. Łucznik. Kardynał. Fotograf. Rekrut.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia. K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze. H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, S Kowal Nowy Sącz, M. Olessnitowa Wygoda, W. Świrski Zakopane, Z Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Krakow, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga. E Bogdańska Koropuż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń. H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, K. Gołąb Nowy Sącz. S Roth Tarnów, W. Stachowicz Lwów, A. Gliński Przemyśl, E Winter Tarnów, H Czyżewiczówna Radomsk, B. Książek Miejsce Piastowe, A. Czmoła Miechów, J. Sosenko poczta polowa 286

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Ciesielski, Poznań.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madajskiego